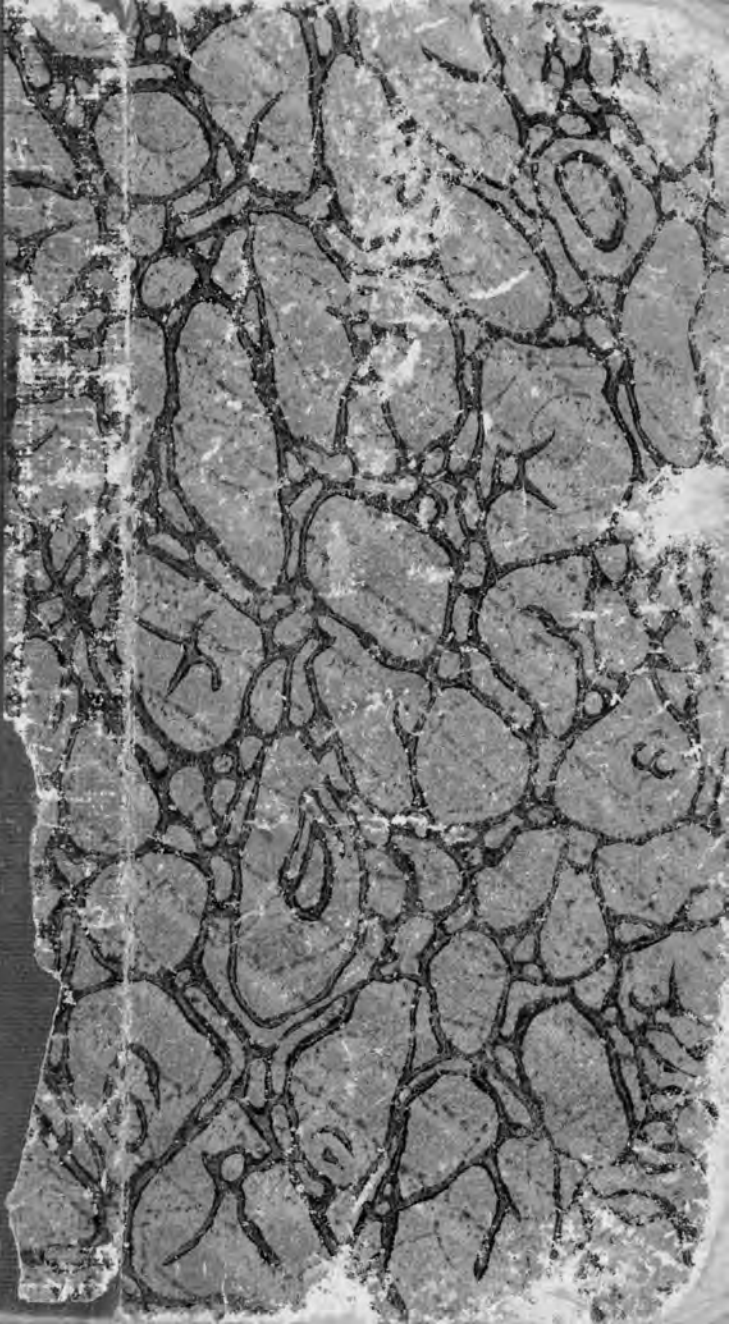


885891111



2 1

~~Kippie~~

~~Wene Ckr~~

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 216.

WILLIAM SHAKESPEARE

KUPIEC WENECKI

DRAMAT W 5 AKTACH

TEUMACZENIE

L. ULRICHA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA

5 8 frank.

7688
X
LUBLIN

178
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
L 58588
WARSZAWA

1711a
Miejska Szkoła
Biblioteka i Czytelnia



OSOBY:

Doża wenecki.
Księżę Maroka.
Księżę Aragonii.
Antonio, kupiec wenecki.
Bassanio, jego przyjaciel.
Solanio,
Salarino, } przyjaciele Antonia i Bassania.
Gracyano, }
Lorenzo, zakochany w Jessyce.
Szajlok (Shyloc), Żyd.
Tubal, Żyd, jego przyjaciel.
Lancelot Gobbo, brzoza, sługa Szajloka.
Stary Gobbo, ojciec Lancelota.
Leonardo, sługa Bassania.
Baltazar, } służy Porcyi.
Stefano, }
Porcy, bogata dziedziczka.
Neryssa, jej służąca.
Jessyka, córka Szajloka.

Panowie weneccy, Urzędnicy trybunału, Odźwierny więzienia, Słudzy.

Scena częścią w Wenecyi, częścią w Belmont, majątku Porcyi na stałym lądzie.

Ch pominiechciał pominie

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ulica w Wenecyi.

(*Wchodzą: Antonio, Salarino i Solanio.*)

Antonio. Prawdziwie, nie wiem, dlaczego tak smutny;
I siebie i was, jak mówicie, nudzę;
Ale jak na mnie spadła ta tęsknota,
Z czego się składa, jak się wyrodziła,
Sam nie wiem dotąd.

Smutek ten wszystkie myśli mi tak mąci,
Że sam się nieraz ledwo poznać mogę.

Salarino. Myśl twa z morskimi tłucze się falami,
Gdzie twe okręty z rozpuszczonym żaglem,
Jako oceanu bogaci mieszczanie,
Lub, że tak powiem, morskie dziwowisko,
Z pogardą patrzą na kramarskie barki,
Które pokorne biją im pokłony,
Gdy je tkanemi mijają skrzydłami.

Solanio. Gdybym ja wodzie swe powierzał mienie,
Wierzaj mi, lepsza uczuć moich częśćka
Tamby za moją pobiegła nadzieją;
I ciągle trawę wrywałbym z ziemi,
Ażeby odkryć, skąd wiatr teraz wieje;
Po mapach ślepił porty, groble, tamy;
I wszystko, co mym statkom grozić może,
W duszyby mojej smutek rozbudzało.

Salarino. Sam oddech, którym studziłbym mą zupę,
Febryczne zimno w serceby mi wlewał
Na myśl, co może wielki wiatr wśród morza.
Nie mógłbym patrzeć na klepsydry piasek
I wraz nie myśleć o morskich mieliznach,
Nie widzieć, jak tam bogaty mój *Andrzej*
Niżej swych boków pochyłonym masztem
Grób swój całuje. Nie stawilbym nogi
W kamiennych ścianach świętego kościoła,
I wraz nie myślał o skałach podwodnych,
O które statek mój trącając piersią,
Wonne korzenie rozsiałby po morzu,
Fale ryczące w jedwab' mój ustroil;
Słowem, przed chwilą być panem tak wielkim,
Po chwili — niczem. Kiedy o tem myślę,
Czyż mogę zaraz nie myśleć i o tem,
Że jeśli moja sprawdzi się obawa,
Długiego smutku dnie na mnie czekają?
Daremno przeczyć; Antonio jest smutny,
Bo myśli o swych towarach na morzu.

Antonio. Nie, przyjaciele. Dzięki mojej doli,
Niejeden statek majątek mój niesie,
W niejednym miejscu, i cobądź wypadnie,
Rok ten mojego losu nie jest panem.
Smutków mych źródłem nie myśl o towarach.

Salarino. To może miłość?

Antonio. Co za przypuszczenie!

Salarino. Ani też miłość? Więc powól powiedzieć:
Dłategoś smutny, żeś nie jest wesół;
I równie łatwo byłoby ci tańczyć.
Mówić, żeś wesół, bo nie jesteś smutny.
Przysięgam na dwie janusowe ¹⁾ głowy,
Natura lepi zabawne figury:
U jednych radość ciągle z ócz wygląda,
Śmieją się ciągle, jakgdyby papugi

¹⁾ Janus — rzymskie bóstwo wojny i pokoju o dwu odwróconych od siebie twarzach.

Na kobzy odgłos; drudzy z kwaśną miną.
Nigdy w uśmiechu zębów nie pokażą,
Choć Nestor ¹⁾ świadczy, że żart śmiechu godny.
(*Wchodzą: Bassanio, Lorenzo i Gracyano.*)

Solanio. Otóż szlachetny twój krewny Bassanio,
Gracyan, Lorenzo. Bywajcie więc zdrowi.
W lepszym was teraz zostawiamy kole.

Salarino. Gdyby nie przyszli godniejsi ode mnie,
Byłbym tu został, żeby cię rozerwać.

Antonio. Waszą obecność zawsze drogo cenię.
Przypuszczam teraz, że wam interesa
Korzystać każą z pierwszej sposobności.

Salarino. Więc do widzenia, laskawi panowie.

Bassanio. Kiedyż się znowu pośmiejemy spolem?
Rzadcy z was goście od pewnego czasu.

Salarino. Będziem korzystać z pierwszej sposobności.
(*Wychodzą: Salarino i Solanio.*)

Lorenzo (do Bassania). Skoro znalazłeś Antonia, odchodzim,
Ale pamiętaj, że razem na obiad
Spotkać się mamy.

Bassanio. Nie chybię godziny.

Gracyano. Antonio, w twarzy twej czytam cierpienie.
Światowe rzeczy zbyt wysoko cenisz:
Traci je, kto je kupuje tak drogo.
Wierzaj mi, wielka, dziwna w tobie zmiana.

Antonio. I ja ten świat, ile wart jest, cenię,
Jak scenę, kędy każdy gra swą rolę;
A mnie tragiczna rola się dostała.

Gracyano. To ja znów śmieszka wolę przyjąć rolę:
Niech przyjdą marszczki wśród tańców i śmiechu,
Wolę, niech wino śledzionę przepali,
Niż, żeby serce zmroziły westchnienia.
Czemuż ma człowiek z gorącą krwią w żyłach
Siedzieć, jak posąg starego pradiadka?
I spać czuwając, ciągle w złym humorze,

¹⁾ Nestor, król Pilosu, jako starzec wziął udział w wojnie trojańskiej; cieszył się niepospolitym szacunkiem u Greków skutkiem swych rad, pełnych życiowej mądrości.

Zawlec się wkońcu w królestwo żóltaczki?

Sluchaj, Antonio, a słowa te przyjaźń

Natchnęła szczerą: są na ziemi ludzie,

Na których twarzy, jak stojącej wodzie,

Rozmyślna ciszy zsiada się skorupa,

Aby ich ubrać w mądrość i powagę,

Nadać im pozór głębokości myśli;

Zda się, że prawia: »Jam jest pan Wyroczenia,

A gdy ja mówię, niech i pies nie szczeka-.

O, mój Antonio, niemało znam ludzi,

Którzy dlatego za mądrych uchodzą,

Że ciągle milczą; a nie wątpię wcale,

Że byle tylko otworzyli usta,

Będą przeszkodą zbawieniu słuchacza,

Bo swoim bliźnim głupców da on imię.

Lecz później o tem pogadamy dłużej;

Teraz cię proszę, na ten smutny haczyk

Nie łów kielbika głupców — próżnej chwały.

Śpieszmy, Lorenzo. Bądź zdrow, przyjacielu,

Moje kazanie skończę po obiedzie.

Lorenzo. Więc zostawiamy cię aż do obiadu.

I ja być muszę jednym z niemych mędrców,

Gracyano bowiem mówić mi nie daje.

Gracyano. Żyj tylko ze mną ze dwa lata dłużej,

A brzemień własnego zapomnisz języka.

Antonio. I mnieby przedmiot ten gadułą zrobil.

Gracyano. Co daj ci Boże! ja chwałę milczenie

Tylko w wędzonym wołowym ozorze,

Tylko w dziewczynie, co nie jest na sprzedaż.

(Gracyano i Lereneo odchodzą).

Antonio. I cóż to wszystko znaczy?

Bassanio. Gracyano plecie nie do rzeczy bardziej, niż ktokolwiek w całej Wenecyi. Rozsądne myśli u niego, jak dwa ziarenka pszenicy w dwóch korcach plew schowane; trzeba ci szukać dzień cały, nim je znajdziesz, a gdy znajdziesz, zobaczysz, że nie było czego szukać.

Antonio. Powiedz mi teraz, co to za kobieta,

Do której tajną ślubujesz pielgrzymkę?

Wszak dziś mi wszystko wyjawić przyrzekłeś.

Bassanio. Wiesz o tem dobrze, kochany Antonio,

Jak zadłużyłem dziedziczny majątek,

Życie na wyższą trochę wiodąc skalę,

Niż dozwalały szczupłe me dochody.

A nie myśl, proszę, bym się na to żalił,

Że mi z dawnego spuścić trzeba tonu.

Dziś myślę tylko, jakbym mógł z honorem

Wyplacić długi, w które mnie lat młodych

Zbyttnia rozrzutność ciężko uwikłała.

Tobie najwięcej winienem w miłości,

Tobie w pieniądzech; w przyjaźń twoją ufny,

Dziś ci wyjawię plany i zamiary,

Jak się uiszczyć ze wszystkich chcę długów.

Antonio. Dobry Bassanio, mów ze mną otwarcie;

A jeśli plan twój, jak życie twe dotąd,

Z drogi honoru nie zejdzie w manowce,

Moja szkatuła, osoba, me wszystko

Stoi otwarte na twoje rozkazy.

Bassanio. Kiedym był dzieckiem, a straciłem strzałę,

W też samą stronę wystrzeliłem drugą,

Z tą samą siłą, lecz większą bacznością,

A tak, na stratę narażając obie,

Nieraz mi obie znaleźć się udało.

Dziecinny przykład dlatego przywodzę,

Że, co mam mówić równie jest niewinne.

Wiele ci winien; jak pusty młodzieniec,

Wszystkom to stracił; lecz jeżeli zechcesz

W tę samą stronę strzałę cisnąć drugą,

Ja, z niej mojego nie spuszczać oka,

Nie wątpię wcale, że lub obie znajdę,

Albo przynajmniej drugą ci powrócę,

Za pierwszą wdzięcznym zostając dłużnikiem.

Antonio. Wszak znasz mnie dobrze, i tylko czas tracisz,

Do mego serca mówiąc z ogródkami.

Szczerze ci wyznam, że mnie krzywdzisz więcej,

Wątpiąc na chwilę o mej gotowości,

Niż gdybyś całe me zmarnował mienie.
Powiedz otwarcie, co w twojem mniemaniu
Dla twej usługi zrobić jestem zdolny,
A jestem gotów. Czekam na odpowiedź.

Bassanio. Jest w Belmont młoda, bogata dziedziczka,
Piękna, piękniejsza nad wszelkie wyrazy,
A cnoty pełna. Kiedyś z jej żrenicy
Nieme poselstwo szczęśny odebrałem.
Imię jej Porcyą; a mierzyć się godna
Z córką Katona, Brutusową Porcyą ¹⁾.
Piękność jej znana całemu jest światu,
Bo cztery wiatry, z czterech końców ziemi,
Zwiewają do niej świątynnych zalotników.
Jasne jej włosy wiją się na skroniach
W bogatych splotach, jakby złote runo,
Zmieniają Belmont na kolchidzkie brzegi ²⁾,
Do których Jazon ³⁾ niejeden się puszcza.
O, gdybym tylko wynalazł sposoby
Dotrzymać placu mym współzalotnikom,
Jakieś przeczucie szeptuje mi do ucha,
Że tam, że w Belmont, szczęście na mnie czeka.

Antonio. Wiesz, że na morzu całe moje mienie,
Że nie mam teraz w domu gotowizny,
Ani sposobów zebrać jej dość śpiesznie,
Lecz próbuj, co mój kredyt w mieście może;
Wszystkie ofiary ponieść jestem gotów,
Byle cię godnie do Belmont wyprawić.
Szukajmy tylko, gdzie gotowy pieniądz,
A ja pożyczki znajdę już sposoby
Na mą rękojmię, lub dla mej osoby.

(*Wychodzą*).

¹⁾ Porcyą, córka Katona z Utyki, a żona Brutusa, przywódcy sprysiężenia przeciw Juliuszowi Cezarowi, odebrała sobie życie na wieść o klęsce męża.

²⁾ Kolchida, kraj na wschodnim brzegu Czarnego morza, była celem wyprawy bohaterów greckich (Argonautów) po złote runo.

³⁾ Jazon — wódz Argonautów, słynny ze swych tragicznych losów.

Belmont. — Pokój w domu Porcyi.

(*Porcyą i Neryssa*).

Porcyą. Wierzaj mi, Nerysso, ten wielki świat znudził już małą
moją osobę.

Neryssa. Wcałoby mnie to nie dziwiło, droga pani, gdyby twoje
utrapienia równie były liczne, jak twoje pomysły. A jednak, wnosząc z tego, co widzę, przekonywam się,
że przesyty, równie jak głód, szkodzi zdrowiu. Nienależy
to więc szczęście stać w środku: dostatek siwieje wcześ-
niej, lecz mierność żyje dłużej.

Porcyą. Dobre i dobrze wyrażone maksymy ¹⁾.

Neryssa. Byłyby lepsze, gdyby się stosowano do nich lepiej.

Porcyą. Gdyby wykonać tak łatwo było, jak wiedzieć, co do wy-
konania dobre, od dawna kaplice zmieniłyby się w ko-
ścioły, a ubogich lepianki w książęce pałace. Dobry ten
pleban, który własne pełni nauki. Łatwiej mi radzić
dwudziestu, jak postępować należy, niż być jedną z dwu-
dziestu, gotową iść za moją radą. Mózg może dla krwi
pisać prawa, lecz gorący temperament zimne przepisy
przeskoczy; jak zając, szalona młodość przesadzi siła
koślawca, dobrej rady. Ale wszystkie te piękne rozumo-
wania nie będą mi pomocą w wyborze małżonka. Ach,
nieszczęśliwa! co ja mówię o wyborze, gdy mi nie wolno
ani wybrać, kogo pragnę, ani odrzucać, kogo nienawi-
dę. Tak więc wola żyjącej córki podać się musi woli
umarłego ojca. Nie jestże to, Nerysso, twarda dola, że
ani wybrać, ani odrzucić nie mogę?

Neryssa. Ojciec twój, pani, zawsze był cnotliwy, a święte osoby,
w godzinę śmierci, mają dobre natchnienia. Loterya więc,
którą wymyślił w tych trzech szkatułkach ze złota, sre-
bra i ołowiu, (z których kto po jego myśli wybierze, cie-
bie wybierze), nie da bez wątpienia, szczęśliwego losu
tylko temu, który szczerze kochać cię będzie. Ale jestże

¹⁾ Maksyma — zasada ogólna, zdanie.

w twojem sercu gorętsze jakie uczucie dla któregośkolwiek z przytomnych tu książęcych twoich zalotników.

Porcya. Mianuj ich po kolei, a na każdego imię dam ci jego opis; z opisu bierz uczuć moich miarę.

Neryssa. Naprzód, jest tu książę neapolitański.

Porcya. To prawdziwy źróbek, w stajni wychowany; nie mówi o niczem, tylko o swoim koniu, a główną ze swoich doskonałości widzi w tem, że go sam potrafi okuć. Boję się, czy jego pani matka nie zapatrzyła się na kowala.

Neryssa. Następnie, jest tu hrabia Palatyn ¹⁾.

Porcya. Ten marszczy się tylko, jakby chciał mówić: »jeśli mnie nie chcesz, wybieraj«. Słucha wesołych powieści, a nie uśmiecha się. Lękam się, aby na stare lata nie został płaczącym filozofem, gdy za młodu tak w smutku jest niepomiarkowany. Wolałabym raczej wziąć za męża trupią głowę z piszczelą w zębach, niż z dwóch tych jednego. Od obu zachowaj mnie, Panie!

Neryssa. A cóż mówisz o szlachcicu francuskim, monsieur le Bon?

Porcya. Bóg go stworzył niech więc uchodzi za człowieka. Wiem ja, że to grzech jest sztydzić; aleć on! on lepszego ma konia, niż Neapolitańczyk, lepszy zły nalóg marszczenia czoła od hrabi Palatyna; posiada wszystkich ludzi przymioty, choć nie jest człowiekiem; niech drozd świnię, on już wybija holupee; gotów fechtować się z własnym cieniem. Biorąc go za męża, wzięłabym dwudziestu mężów. Gdyby mną wzgardził, przebaczyłabym mu chętnie, bo choćby mnie kochał do szaleństwa, nie znajdzie nigdy wzajemności

Neryssa. A co mówisz o Falconbridge'u, młodym baronie angielskim?

Porcya. Wiesz, że do niego nie mówię wcale, bo się nie możemy zrozumieć. On nie umie ani po łacinie, ani po francusku, ani po włosku, a co do mnie możesz przysiąc przed trybunale, że nie umiem za grosz po angielsku. Ładny

¹⁾ Palatyn reński (Pfalzgraf), panujący w jednym z byłych księstw Rzeszy Niemieckiej nad Renem.

z niego obrazek; ale, niestety! któż potrafi z lalką rozmawiać? A jak dziwacznie ubrany! Zdaje mi się, że we Włoszech kupił kamizelkę, rajtuzy ¹⁾ we Francji, w Niemczech kapelus, a maniery wszędzie.

Neryssa. Co myślisz o młodym lordzie szkockim, jego sąsiedzie?

Porcya. Że ma wielką miłość chrześcijańską, bo u Anglika pożyczyl policzka ²⁾, a przysięgi, że odda, gdy będzie w możności; myślę, że Francuz był mu poręczycielem i dla pewności swoją także pieczęć przyłożył.

Neryssa. Jak ci się podoba młody Niemiec, synowiec księcia saskiego?

Porcya. Bardzo mało — rano, kiedy trzeźwy, a najmniej po południu, kiedy pijany. W najprzychylniejszych dla siebie okolicznościach trochę gorszy od człowieka, w najprzeciwniejszych trochę lepszy od bydłęcia. W najgorszym razie mam otuchę, że mu się wymknąć potrafię.

Neryssa. Gdyby jednak chciał wybierać, a wybrał szczęśliwą szkatułkę, pogwałciłabyś wolę ojca, gdybyś go przyjął nie chciała.

Porcya. To też, dla bezpieczeństwa, postaw kufel wina reńskiego na innej, bo wiem, że, gdyby sam dyabel siedział wewnątrz, a zewnątrz ta pokusa, wybierze ją. Gotowa jestem zrobić wszystko przód, Nerysso, nim rękę moją oddam gąbce.

Neryssa. Nie lękaj się, pani, by którykolwiek z tych pretendentów twoim został mężem. Już mnie uwiadomili o swoim postanowieniu, że wrócą do domów i dręczyć cię zalotami przestaną, jeżeli dla otrzymania twojej ręki trzeba koniecznie, stosownie do woli twojego ojca, między szkatułkami wybierać.

Porcya. Choćbym dożyła wieku Sybilli ³⁾, umrę czystą, jak Dyana ⁴⁾,

¹⁾ Rajtuzy — spodnie do konnej jazdy.

²⁾ Napomknienie o walkach między Anglią i Szkocją, w których Szkocya była wspierana przez Francję.

³⁾ Sybilla — stara wieszczka, która według podań rzymskich miała przynieść jednemu z królów bajecznego Rzymu t. zw. Księgi sybillińskie, czyli zbiór przepowiedni, dotyczących losów wiecznego miasta.

⁴⁾ Dyana — bogini księżycy.

jeśli nie znajdę męża według ojcowskiego rozkazu. Cieszę się, że ta część zalotników tyle pokazała rozsądku, bo niema jednego między nimi, o którego odjeździe nie marzyłabym z rozkoszą. Niechże Bóg szczęśliwie ich prowadzi!

Neryssa. Czy nie przypominasz sobie, pani, młodego Wenecyanina, ćwiczonego w książkach, a żołnierza, który tu przybył, jeszcze za życia twojego ojca, w towarzystwie markiza Montferratu?

Porcya. O, bardzo dobrze; zdaje mi się, że się nazywa Bassanio?

Neryssa. On właśnie. Ze wszystkich mężczyzn, na których biedne moje oczy oglądały kiedykolwiek, on najgodniejszy pięknej żony.

Porcya. Pamiętam go dobrze; o ile pamiętam, pochwały twojej godny. *(Wchodzi służący).*

Służący. Czterej cudzoziemcy pytają się o panią, chcą ją pożegnać. Przyjechał także goniec piątego, księcia Maroka, z doniesieniem, że książę, pan jego, wieczorem tu przybywa.

Porcya. Gdybym tak szczerze powitać mogła piątego jak mogę czterech pierwszych pożegnać, cieszyłabym się z jego przyjazdu. Jeśli ma przymioty świętego, a cerę dyabła, wolałabym go za spowiednika, niż za zalotnika.

Idźmy, Nerysso. Prowadź nas do sali.

Gość nowy zjeżdża, nim ci odjechali.

(Wychodzą).

SCENA III.

Publiczny plac w Wenecyi.

(Bassanio i Szajlok).

Szajlok. Trzy tysiące dukatów, dobrze.

Bassanio. Tak jest, na trzy miesiące.

Szajlok. Na trzy miesiące, dobrze.

Bassanio. Za które, jak ci już powiedziałem, ręczy Antonio.

Szajlok. Za które ręczy Antonio, dobrze.

Bassanio. Czy możesz oddać mi tę przysługę? Czy chcesz zrobić mi tę przyjemność? czy dasz mi nakoniec odpowiedź?

Szajlok. Trzy tysiące dukatów, na trzy miesiące, na zaręczenie Antonia.

Bassanio. Twoja odpowiedź?

Szajlok. Antonio jest dobry człowiek.

Bassanio. Albożeś kiedykolwiek słyszał co przeciw niemu?

Szajlok. O nie, nie, nigdy! Jeśli powiedział, że Antonio jest dobry człowiek, to rozumiem przez to, że jego zaręczenie jest dostateczne. Ale jego zamożność tylko domniemana. Jeden z jego okrętów w drodze do Trypolisu, drugi do Indyi, a, jak słyszałem na Rialto ¹⁾, trzeci jest w Meksyku, czwarty płynie do Anglii, inne rozproszone po innych stronach świata. Ale okręty to deski, a majtkowie, to ludzie; są też szczyry lądowe i szczyry wodne, złodzieje lądowi i złodzieje morsey, to jest rozbójnicy; a prócz tego niebezpieczna jest woda i wiatry i skały. Mimo tego jednak zaręczenie jego dostateczne; trzy tysiące dukatów — myślę, że mogę przyjąć jego oblig ²⁾.

Bassanio. Możesz bez obawy.

Szajlok. Chciałbym nie mieć obawy; ale żebym nie miał obawy, potrzebuję namysłu. Czy mogę mówić z Antoniem?

Bassanio. Jeśli chcesz z nami dziś obiadować.

Szajlok. Tak, i wachać wieprzowinę i jeść to pomieszkanie, w które wasz prorok Nazarejczyk wpędził dyabła! Będę kupował z wami sprzedawał z wami, przechadzał się z wami i tam dalej, ale nie chcę jeść z wami, pić z wami, ani modlić się z wami. Co tam nowego na Rialto? Kto się do nas przybliży?

(Wchodzi Antonio).

Bassanio. To Antonio.

Szajlok. *(na str.).* Co za fałszywa mina publikana! ³⁾

On chrześcijanin już go nienawidzę,

Lecz stokroć więcej, że w głupiej prostocie

¹⁾ Rialto — do dziś istniejący most na Wielkim Kanale w Wenecyi.

²⁾ Oblig — pisemne zobowiązanie zapłacenia długu.

³⁾ Publikaniu — dzierżawca podatków u starożytnych Rzymian; przenośnie: zdzierca.

Darmo pieniądze biednym rozpożycza,
I zniża procent na giełdzie weneckiej.
O, jeśli kiedy chwycę go za biodro,
Dawną urazę nakarmię do syta!
On nienawidzi święte plemię nasze,
I szydzi ze mnie pośród kupców tłumu,
Ze mnie i moich godziwych zarobków,
Które zwie lichwą. Niech przekleństwo spadnie
Na ród mój cały, jeśli mu przebaczę!

Bassanio. Szajlok, czy słyszysz?

Szajlok. Właśnie teraz myślę,

Jak stoją rzeczy z moją gotowizną,
O ile mogę z pamięci zmiarkować,
Nie będę w stanie całych trzech tysięcy,
Zebrać natychmiast; ale cóż to znaczy?
Bankier z mojego pokolenia, Tubal,
Doda mi więcej. Na ile miesięcy
Ma być pożyczka? (*Do Antonia*). Uniżony sługa!
Właśnie o panu teraz mowa była.

Antonio. Choć to mym nigdy zwyczajem nie było
Brać lub dawać pieniądze na procent;
Dziś, dla naglących potrzeb przyjaciela,
Zwyczaj ten łamię. (*Do Bassania*). Czy wie, co ci trzeba?

Szajlok. Wiem, trzy tysiące trzeba mu dukatów.

Antonio. Na trzy miesiące.

Szajlok. Prawda, zapomniałem;

Na trzy miesiące, jak mi pan powiada.
Co do obligu — o, tak — słuchaj, panie,
Wszak mi mówiłeś, jeśli się nie mylę,
Że ani dajesz, ani bierzesz procentów?

Antonio. Do dziś przynajmniej taki był mój zwyczaj.

Szajlok. Gdy Jakób wuja Labana pasł trzody,
Jakób ten, z świętej linii Abrahama
(Przez mądrą sztukę swej roztropnej matki)
Był trzecim, tak jest, trzecim był dziedzicem.

Antonio. I cóż stąd? czyliż Jakób brał procenty?

Szajlok. Nie, nie brał, to jest raczej bezpośrednio
Nie brał procentu, lecz słuchaj co robił.

Kiedy z Labanem, wujem, się ułożył,
Że z trzody wszystkie pstrokate jagnięta
Dla niego będą, pod koniec jesieni,
Kiedy do owiec przypuszczono tryki,
I gdy wełniste matki plód poczęły,
Rozumny pasterz drzew pewne gałęzie
Z kory obłupał i tak obłupane
Przed kotnych owiec wystawił oczami;
A kiedy przyszedł czas, młode jagnięta
Były pstrokate, były Jakóbowe.
Tak rósł w bogactwo mąż błogosławiony,
Bo wszelki dochód jest błogosławieństwem,
Jeśli nie jest kradzieżą owocem.

Antonio. Jakób był sługą za przygodną place,
Za rzecz od jego niezawisłą woli.
Lecz kierowaną bożym tylko palcem.
Jakto? więc tekst ten bronić ma lichwiarzy?
Lub czy twe złoto owcą jest i trykiem?

Szajlok. Nie wiem, lecz równie rozmnażam je szybko.
Słuchaj mnie, panie.

Antonio. Uważaj Bassanio,
Że biblię może i dyabeł cytować.
Zła dusza, święte przywodząca teksty,
Jest jako rozbójnik z uśmiechem na twarzy,
Lub piękne jabłko, ale zgniłe w jądrze.
O, jakże piękną fałsz przybiera postać!

Szajlok. Hm, trzy tysiące — okrągła to sumka!
A trzy miesiące z dwunastu; to zrobi...

Antonio. Powiedz, możemyż na ciebie rachować?

Szajlok. Panie Antonio, nie raz, nie dwa razy,
Szydziłeś sobie ze mnie na Rialto,
Ze mnie, z pieniędzy moich i procentów;
Ja wszystko jednak znosiłem cierpliwie,
Bo Izraela przeznaczeniem cierpieć.
Zwałeś mnie kundlem, niewiernym rabusiem,
Plwaleś na moją żydowską opończę
Za to, że mój używałem własności.
Dziś, zda się, mojej trzeba ci pomocy;

KUPIEC WENECKI



Dobrze więc, dzisiaj przychodzisz i mówisz:
»Szajlok, potrzeba mi teraz pieniędzy.«
Tak mówisz do mnie, ty, co plwałeś na mnie,
Deptaleś po mnie, odganiałeś nogą,
Jak psa od progu. Teraz chcesz pieniędzy!
A ja co na to? Mamże odpowiedzieć:
Jak to być może, by miał pies pieniądze,
By mógł pożyczyć kundel trzy tysiące?
Lub, czy z pokłonem, głosem niewolnika,
Wstrzymując oddech w uczuciu pokory,
Mam odpowiedzieć: panie w przeszłą środę
Plunałeś na mnie, przed kilkoma dniami,
Psem mnie nazwałeś, potraćeś nogą;
Za tyle łaski daję ci pieniądze.

Antonio. Jak dawniej byłem, tak dziś jestem gotów,
Nogą cię kopać i pluć ci na brodę.
Jeśli nam zechcesz pożyczyć pieniędzy,
To nie pożyczaj, jak przyjacielowi,
(Bo kiedyż przyjaźń nieplodne metale
Rozmnażać pragnie w przyjaciela rękę?)
Lecz daj je raczej nieprzyjacielowi,
Na którym, jeśli na czas nie wypłaci,
Będziesz miał prawo zemstę swą nasycić.

Szajlok. Na co te gniewy? Ja z całego serca
Chciałbym na waszą zarobić przychyłość,
Zabyć krzywd starych i starej urazy,
Wyliczyć sumę, nie żądać procentu:
A wy tu nawet słuchać mnie nie chcecie!
Możnaż przyjaźni komu lepiej dowieść?

Antonio. Byłby to dowód prawdziwej przyjaźni.
Szajlok. Otóż ten dowód Szajlok dać jest gotów.
Teraz chodź ze mną pan do notaryusza,
I podpisz oblig, w nim, jakby dla żartu,
Wyraź, że jeśli na tę lub tę datę,
Tam lub tam, wiernie nie zapłacisz sumy,
Na jaką w swym się podpiszesz obligu,
Oddasz mi jeden funt twojego mięsa,
Który odkraję gdzie mi się spodoba.

Antonio. Więc zgoda: oblig taki podpiszę,
I powiem jeszcze: uczciwy Żyd z ciebie

Bassanio. Ja nie przystaję na takie warunki,
Wolę na zawsze w nędzy mojej zostać.

Antonio. Dobry Bassanio, daremnie się trwożysz;
Za dwa miesiące (to jest przed terminem
Na miesiąc cały) statki me wracają
Z sumą od długu dziewięć razy większą.

Szajlok. O, Abrahamie! jak ci chrześcijanie,
Własnego serca twardością uczeni,
I cudze myśli mają w podejrzeniu.
Toż mi powiedzcie, gdy na termin chybi,
Jaką mi korzyść oblig ten zapewnia?
Funt mięsa z ciała jego odkrojony,
Mniej wart daleko, niż funt baraniny.
Co robię, robię dla waszej przyjaźni.
Przyjmuje, dobrze; nie to bądźcie zdrowi;
Proszę was tylko, nie krzywdźcie mnie odtąd.

Antonio. Twoje warunki chętnie podpisuję.

Szajlok. Więc czekaj na mnie pan u notaryusza,
Zabawny oblig każ mu przygotować,
A ja tymczasem biegnę po dukaty,
Zajrzę do domu, który zostawiłem
W niepewnej straży wierutnego łotra,
I wnet powracam.

Antonio. Śpiesz się, dobry Żydzie.

Żyd ten się przechrzci — żyć począł uczciwie.

Bassanio. Gdzie myśl lotrowska, groźna mowa święta.

Antonio. Wierzaj, mi wszystko skończy się szczęśliwie:
Miesiąc przed czasem wrócą me okręty.

(*Wychodzą.*)

AKT DRUGI.

SCENA I.

Belmont. Pokój w domu Porcyi.

(Przy odgłosie trąb wchodzą: księżę Maroka i jego świta, wszyscy w białej; Porcyja z Neryssą i dworem).

Ks. Maroka. Dla mojej cery nie miej do mnie wstępu;
To ciemny kolor palącego słońca,
W którego blizkiem urosłem sąsiedztwie.
Niech tu najbielszy przyjdzie syn północy,
Dla twej miłości żyły otworzymy,
A ujrzysz czyja krew czerwieńsza będzie.
Wierzaj mi, pani, na widok tej twarzy
Waleczni drżeli, i dla niej miłością
Piękne mej ziemi płonęły dziewice.
Nie chciałbym zmienić mojego koloru,
Chyba w nadziei skradzenia twych myśli.

Porcyja. W moim wyborze nie słucham jedynie
Błachych podszeptów dziewiczego oka;
Prócz tego, moich przeznaczeń loterya
Wszelkie wyboru odjęła mi prawo.
Gdyby mnie ojca nie zmuszała wola
Do dania ręki mojej temu tylko,
Który mnie wygra w sposób ci wiadomy,
Waleczny księżę, równe miałbyś prawo
Do moich uczuć, jak inni przybysze,
Których do dzisiaj w mym domu widziałam.

Ks. Maroka. I za te nawet dziękuję ci słowa.
Prowadź mnie teraz do twoich szkatulek,
Pozwól mi próbę fortuny ¹⁾ mej zrobić.
Przysięgam, pani, na ostrze tej szabli,
Od której Sofi ²⁾ i perski legł księżę,

¹⁾ Fortuna — rzymska bogini losu; przenośnie: los, szczęście majątek.

²⁾ Sofi — tytuł szachów perskich z dynastji Sofi.

Trzykroć pierzchnęły wojska Solimana,
Że gotów jestem, aby cię pozyskać,
Najśmielszych żrenic wytrzymać spojrzenie.
Najśmielsze serca przewyższyć odwagą,
Szczęnię od piersi niedźwiedzicy wydrzeć,
I ze lwa szydzić, gdy zgłodniały ryczy.
Ale, ach! kiedy Lichas ¹⁾ z Herkulesem,
Kto z nich dzielniejszy, w kostki chcą rozstrzygnąć,
Rzut może lepszy z słabszej wypaść ręki,
I giermek może Alcyda ²⁾ zwyciężyć.
I ja tak, pani, ślepych losów dziełem,
Utracić mogę, co mniej godny zyska,
I umrzeć z żalu.

Porcyja. Musisz jednak, księżę,
Albo natychmiast wyrzec się wyboru,
Lub wprzód przysiędź, że, jeśli się zmylisz,
Nigdy już później, do żadnej kobiety
Nigdy nie rzekniesz słowa o zameżciu.
Namyśl się dobrze.

Ks. Maroka. Idźmy do szkatulek!

Porcyja. Lecz wprzód, księżę, śpieszmy do świątyni,
A po obiedzie wybór będzie wolny.

Ks. Maroka. Niech los przyjazny wiedzie moją rękę
Na szczęście wieczne albo wieczną mękę!
(Trąby. — Odchodzą).

SCENA II.

Ulica w Wenecji.

(Lancelot i Gobbo).

Lancelot. Bez wątpienia, sumienie pozwoli mi drapnąć od tego
Żyda, mojego pana. Dyabeł stoi mi przy boku i kusi
mnie, mówiąc: Gobbo, Lancelocie Gobbo, albo dobry

¹⁾ Lichas — sługa Herkulesa.

²⁾ Alcyda (Alkejdes) — miano Herkulesa, którego matka, Alkmena, była córką Alkajosa

Gobbo, albo dobry Lancelocie Gobbo, dalej nogi za pas i zmykaj! Ale sumienie woła: Nie, strzeż się, uczciwy Gobbo, albo, jak wyżej, uczciwy Lancelocie Gobbo, nie uciekaj, gardź ucieczką z nogami za pas! Ale szatan, niezmiészany, wciąż prawi swoje: Pakuj manatki! dalej! woła szatan, w drogę! woła szatan; przez Boga, nabierz serca! woła szatan, i zmykaj! Ale sumienie moje, wieszając się na szyi mojego serca, mówi do mnie bardzo mądrze: Uczciwy mój przyjacielu Lancelocie, ty, co jesteś synem uczciwego człowieka, albo raczej synem uczciwej niewiasty, (bo ojciec mój, wyznać muszę, trochę czemś trąci i z czasem dostał pewnego smaku), więc tedy sumienie mówi: Lancelocie, nie ruszaj! Ruszaj! mówi szatan. Nie ruszaj! powtarza sumienie. Sumienie, mówię ja, i ty radzisz dobrze; szatanie, mówię ja, i ty radzisz dobrze. Idąc za głosem sumienia, zostałbym z Żydem, moim panem, który odpuść Panie! jest rodzajem dyabła, ale uciekając od Żyda, poszedłbym za głosem szatana, który, uczciwszy uszy, jest dyablem w własnej osobie. Zapewne, i Żyd też dyablem jest wcielonym, i, na sumienie, sumienie moje twardestem jest sumieniem, gdy mi radzi zostać z Żydem. Szatan daje mi przyjaźniejszą radę. Ucieknę, szatanie, moje pięty na twoje rozkazy, ucieknę.

(*Wchodzi stary Gobbo z koszykiem.*)

Gobbo. Hej, młody paniczku, powiedz mi, proszę, którądy droga do pana Żyda?

Lancelot (*na str.*). O nieba, to prawowity mój ojciec! Ale, że bielmem zaszyły mu oczy, nie poznaje mnie. Zrobię więc na nim parę doświadczeń.

Gobbo. Młody paniczku, powiedz mi, proszę, którądy droga do pana Żyda.

Lancelot. Przy pierwszym skręć weź się na prawo, ale przy najpierwszym skręć na lewo; ale pamiętaj, żebyś przy najbliższym skręć nie brał się ani na prawo, ani na lewo, lecz poszedł prosto bokiem do żydowskiego domu.

Gobbo. No, Boże drogi, ciężka będzie sprawa do niego trafić. Nie mógłbyś mi powiedzieć, czy niejaki Lancelot, który z nim mieszka, mieszka z nim, czy nie?

Lancelot. Czy mówisz o młodym panu Lancelocie? (*Na stronie.*)
Bacność, teraz nastroję minę. Czy mówisz o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. Nie, paniczku, ale o synu chudego pacholka. Ojciec jego, choć ja to mówię, jest uczciwy, bardzo biedny człowiek, choć zdrow dotąd, dzięki Bogu.

Lancelot. Niech ojciec jego czem chce będzie, my teraz mówimy o młodym panu Lancelocie.

Gobbo. O pańskim słudze i Lancelocie.

Lancelot. Więc proszę cię, ergo, staruszk, proszę cię powiedz, czy mówisz o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. O Lancelocie, z pańskim przeproszeniem.

Lancelot. Ergo, o panu Lancelocie. Ojcie, nie mów o panu Lancelocie. Młody ten pan, przez zrządzenie losów i przeznaczeń i podobnych dziwacznych wokabul¹⁾, i trzech siostr i innych galezi umiejętności, zaprawdę, pan ten umarł, albo, jakbyś po prostu powiedział, przeniósł się do wieczności.

Gobbo. Uchowaj Boże! chłopak ten był kiejn. mojej starości, moją podporą.

Lancelot. Mamże minę palki lub draga, kija lub podpory? Czy poznajesz mnie, ojczu?

Gobbo. Nie, nie poznaję cię, młody paniczku, ale powiedz mi, proszę, czy mój chłopiec, (Panie świeć, nad jego duszą!) umarł, czy żyje?

Lancelot. Nie poznajesz mnie, ojczu

Gobbo. Ach, paniczku! oczy moje bielmem zaszyły; nie poznaję cię.

Lancelot. Choćbyś miał i zdrowe oczy mógłbyś się łatwo omylić; mądry ojczu, który zna własne dzieci. Słuchaj, staruszk, powiem ci nowinę o twoim synu: daj mi twoje błogosławieństwo; prawda wyjdzie na jaw; zabójstwo nie może się długo utaić, choć syn człowieczy może, ale nakoniec prawda wyjdzie na jaw.

Gobbo. Proszę cię, wstań, paniczku, bo jestem pewny, że to nie Lancelot, mój chłopak.

Lancelot. Proszę cię, skończmy te żarty; daj mi twoje błogosła-

¹⁾ Wokabuly — słówka cudzoziemskie.

wieństwo. Ja jestem Lancelot, chłopak twój kiedyś, syn twój dzisiaj, a twoje dziecię na przyszłość.

Gobbo. Nie mogę wierzyć, żebyś był moim synem.

Lancelot. Nie wiem, co o tem myśleć; ale wiem, że nazywam się Lancelot, że jestem Żyda pacholkiem, i jestem pewny, że Magda, żona twoja, moją jest matką.

Gobbo. Prawda, że imię jej Magda. Jeśli ty Lancelot, to mogę przysiąc, że ty ciało i krew moja. Niech będzie błogosławione imię Pańskie! jakże ci broda porosła! Wszak ty masz więcej włosów na podbródku, niż Dobbin, moja szkap, na ogonie.

Lancelot. To chyba ogon jego na wspak rośnie, bo jestem pewny, że więcej miał włosów na ogonie, niż ja na twarzy, kiedyś go ostatni raz widział.

Gobbo. Chryste! jak się zmieniłeś! A z panem twoim jak jesteś? Przynoszę mu podarek. Jak teraz z nim jesteś?

Lancelot. Tak, nieźgorzej. Ale co do mnie, kiedy już na tem stanęło, że mam dać drapaka, nie stanę, aż dobry kawał ziemi udrapię. Prawdziwy Żyd z mojego pana. Przynosisz mu podarek? przynieś mu stryczek. Ushłem na jego służbie; mógłbyś każdy mój palec na moich żebrach rachować. Rad jestem, ojczu, że przyszedłeś: daj mi twój podarek pewnemu panu Bassanio! to mi pan, który daje przepyszną nową barwę¹⁾. Jeśli u niego służby nie znaję, będę pędził, póki mi ziemi stanie. Co za szczęście! to on się zbliża. Do niego, ojczu, bo jestem Żydem, jeśli temu Żydowi służyć będę dłużej.

(Wchodzi Bassanio, za nim Leonardo i służba).

Bassanio. Możesz tak zrobić; staraj się tylko, żeby wczera była gotowa najpóźniej na godzinę piątą. Odeślij te listy, komu potrzeba, daj barwę do roboty i proś Gracyana, żeby natychmiast do mnie przyszedł.

(Jeden ze sług wychodzi).

Lancelot. Mówże do niego, ojczu!

Gobbo. Niech Pan Bóg zesła wszystkie błogosławieństwa na jaśnie wielmożnego pana!

¹⁾ Barwa — liberya, uniform służby w domach pańskich.

Bassanio. Dziękuję. Czy masz co do mnie?

Gobbo. Oto mój syn, jaśnie panie, biedny chłopak...

Lancelot. Nie biedny chłopak, panie, ale pacholek bogatego Żyda, któryby pragnął, panie, jak to mój ojciec wyspecyfikuje...¹⁾.

Gobbo. Wielką ma infekcyę²⁾, panie, że tak powiem, służyć.

Lancelot. Krótko mówiąc, służyć Żydowi, a pragnę, jak to mój ojciec wyspecyfikuje...

Gobbo. Pan jego i on, z przeproszeniem jaśnie pana, żyją, jak pies z kotem.

Lancelot. Słowem, aby opowiedzieć prawdę, Żyd mnie pokrzywdził i spowodował, jak to mój ojciec, będąc, jak spodziewam się, staruszkim, jaśnie panu, wyruferuje...³⁾

Gobbo. Przyniosłem parę gołąbków, którą chciałbym ofiarować jaśnie panu, a moja prośba...

Lancelot. Krótko mówiąc, prośba jest w despekcie⁴⁾ do mej osoby, jak się jaśnie pan dowie od tego uczciwego staruszka, a choć ja to mówię, choć staruszka, chudego przecie pacholka, mojego ojca.

Bassanio. Niechże jeden mówi za obu. Czego żadasz?

Lancelot. Służby u pana.

Gobbo. To jest defekt⁵⁾ naszej prośby.

Bassanio. Znam ciebie dobrze; masz, czego żadałeś.

Szajlok o tobie mówił mi przed chwilą.

Masz u mnie służbę, jeżeli przenosisz

Opuścić Żyda bogacza mieszkanie,

A pójść za biednym tak jak ja szlachcicem.

Lancelot. Stare przysłowie rozdzieliło się dobrze między mojego pana Szajloka, a jaśnie pana: pan ma błogosławieństwo Boże, a on ma dostatek.

Bassanio. Dobrześ powiedział. Staruszku idź z synem,

Niech z swoim dawnym pożegna się panem,

¹⁾ Wyspecyfikuje — wyszczególni.

²⁾ Infekcyja — zaraza, zarażenie się. (Gobbo i Lancelot, mówiąc z Bassaniem, używają przez szacunek dlań wyrazów cudzoziemskich, których sami nie rozumieją).

³⁾ Powinno być »zreferuje« — wyłoży przebieg sprawy.

⁴⁾ Despekt — uchybienie, obraza.

⁵⁾ Defekt — wada, uszkodzenie.

A potem śpieszcie do mojego domu.

(*Do służby*).

Dajcie mu barwę od innych bogatszą.

Lancelot. Ojciec wygrana! — Nie, nie mogę znaleźć służby, nie, nie mam w gębie języka! (*Patrzac na swoją dłoń*). Dobrze, znajdź mi człowieka we Włoszech z piękniejszą dłonią. Patrz tylko: tu ciągnie się prosta linia życia; tu mała żon bagatela; niestety! piętnaście żon, to nie — jedenaście wdów, a dziesięć panien, to zwykła porcja dla jednego męża. A prócz tego potem: trzy razy uratowany od mokrej śmierci, raz w niebezpieczeństwie życia od ostrza pierzyny — to zwykle ludzkie koleje! Jeśli prawda, że fortuna jest niewiasta, to uczciwie z niej kobiecisko. W drogę, ojciec! Pożegnanie z Żydem odbędzie się w mguceniu oka.

(*Lancelot i stary Gobbo wychodzą*).

Bassanio. Myśl tylko o tem, dobry Leonardo.

Gdy wszystko zbierzesz, wszystko opakujesz,

Wracaj do domu, bo wiesz, że wieczorem

Moich najlepszych częstując przyjaciół.

Leonardo. Będę się śpieszył, o ile wydołam.

Gracyano (*wchodząc*). Gdzie pan twój?

Leonardo. Tam się samotnie przechodzi.

(*Leonardo wychodzi*).

Gracyano. Signor Bassanio!

Bassanio. O drogi Gracyano!

Gracyano. Mam cię o łaskę prosić.

Bassanio. Otrzymałeś.

Gracyano. Muszę do Belmont jechać z tobą razem.

Bassanio. Więc musisz. Słuchaj jednak, mój Gracyano,

Zbyt jesteś dziki, zbyt śmiały w wyrazach,

Co wszystko, prawda, bardzo ci do twarzy,

I w oczach naszych wadą nawet nie jest,

Lecz, gdzieś mniej znany, to wydać się może

Zbytkiem rozpusty; staraj się więc studzić

Kilku chłodnemi skromności kroplami

Wrzący twój umysł, żeby twoja śmiałość,

Na mój rachunek czasem zapisana,

Wszystkich nadziei moich nie zniszczyła.

Gracyano. Jeśli skromnej nie przywdzieję miny,

Jeśli kląć będę częściej, niż potrzeba,

Jeśli nie będę Oltarzyka nosił,

A przy modlitwach, jeśli moich oczu

Nie spuszczę skromnie i nie westchnę: amen!

Jeśli nie będę chował praw grzeczności,

Jak mąż ćwiczony w formach uroczystych,

Aby na względy babki swej zarobić:

Nie wierz mi nigdy.

Bassanio. Będziemy widzieli.

Gracyano. Ale dzisiaj tylko noc wyjmuję ¹⁾:

Z dzisiejszej nocy, nie przesądź jutra.

Bassanio. Byłaby szkoda. I owszem, tej nocy

Przywdziej rozpusty szatę najweselszą,

Bo mam przyjaciół, którzy chcą się bawić.

Bądź zdrow; mam jeszcze roboty niemało.

Gracyano. Ja do Lorenca i przyjaciół śpieszę;

Lecz nie chybimy godziny wieczery.

SCENA III.

Wenecya. — Pokój w domu Szajloka.

(*Jessyka i Lancelot*).

Jessyka. Smutno mi bardzo, że tak ojca rzucasz.

Dom nasz jest piekłem, a tyś był dyabelkiem,

Co go choć z cząstki nudoty okradał.

Lecz bywaj zdrowy! — Dukat ten dla ciebie.

Słuchaj, jak tylko zobaczysz Lorenca,

Który dziś z nowym twym panem wieczera,

Proszę cię, list ten oddaj mu tajemnie,

A teraz bądź zdrow! Nie chcę, by mój ojciec

Widział nas razem.

¹⁾ Wyjmuję — wyłączam.

Lancelot. Bądź zdrowa! Izy są moim językiem. Najpiękniejsza poganko, najśłodsza Żydóweczko! jeżeli jaki chrześcijanin figla nie wyplata, żeby cię zyskać, omyliłbym się grubo. Ale bądź zdrowa! w głupich kroplach ¹⁾ tonie trochę męski mój umysł. Bądź zdrowa!

(Wychodzi).

Jessyka. Bywaj mi zdrowy, dobry Lancelocie, O, co za ciężki grzech na mem sumieniu, Że ojca mego córką się być wstydzę! Ale choć jestem krwi jego dziećciem, Nie jestem córką jego charakteru. Lorenzo, jeśli nie jestem zwiedzioną, Wnet chrześcijanką będę i twą żoną.

(Wychodzi).

SCENA IV.

Wenecya. — Ulica.

(Gracyano, Lorenzo, Salarino i Solanio).

Lorenzo. Podczas wieczerzy wymknijemy się skrycie, W mojem mieszkaniu maski pobierzemy, I za godzinę będziemy z powrotem.

Gracyano. Jeszcze nam braknie wiele przygotowań.

Solarino. Nie mamy jeszcze giernków do pochodni.

Solanio. Jeżeli wszystko nie jest jak należy, Mem zdaniem, lepiej rzecz całą odłożyć.

Lorenzo. Wszak dopiero co czwarta wybiła, Mamy jeszcze całe dwie godziny.

(Wchodzi Lancelot z listem).

Jakie nowiny niesiesz, przyjacielu?

Lancelot. Niech pan ten list odpiecztuje, może tam znajdzie jakie nowiny.

Lorenzo. Ach, znam tę rękę! o, piękna to ręka! I bielsza, bielsza, aniżeli papier, Na którym pisze.

¹⁾ W głupich kroplach — we łzach.

Gracyano. Nowiny miłości.

Lancelot. Z pozwoleniem wielmożnego pana.

Lorenzo. Gdzie idziesz?

Lancelot. Zaprosić mego dawnego pana Żyda na wieczerzę do mego nowego pana chrześcijanina.

Lorenzo. Weź to dla siebie. A pięknej Jessyce Powiedz tajemnie, niechaj na mnie liczy.

(Wychodzi Lancelot).

Proszę, czy będzie co z tej maskarady?

Co do mnie, mam już giernka do pochodni.

Salarino. Ja mego idę szukać.

Solanio. I ja także.

Lorenzo. W domu Gracyana zbierzemy się wszyscy.

Salarino. Rzecz ułożona.

(Salarino i Solanio wychodzą).

Gracyano. Czy list od Jessyki?

Lorenzo. Powiem ci wszystko. W liście tym mi pisze,

Jak ją mam wykraść z ojcowskiego domu;

Co bierze w złocie, a co w dyamentach;

Jakiego pazia ubiór ma gotowy.

Jeśli się Żyd ten do nieba dostanie,

To przez zasługi słodkiej swojej córki;

A gdy ją troska w życiu kiedy spotka,

To chyba tylko dlatego jedynie,

Że jest potomstwem niewiernego Żyda.

A teraz idźmy; list przeczytasz w drodze.

Jessyka będzie mej pochodni giernkiem.

(Wychodzą).

SCENA V.

Przed domem Szajloka.

(Szajlok i Lancelot).

Szajlok. Na własne oczy zobaczysz różnicę

Między Szajlokiem starym a Bassaniem. —

Hej, ho! Jessyka! — Nie będziesz się spasał,

Jak w moim domu. — Czy słyszysz, Jessyka! —

I spał i chrapał i dał piękną odzież. —
Jessyka, śpiesz się!

Lancelot. Hejże tam, Jessyka!

Szajlok. A to co znowu? kto wrzeszczeć ci kazał?

Lancelot. Wasza wielbność miała zwyczaj ciągle lajać mnie
za to, że nie mogłem nic zrobić bez rozkazu.

(*Wchodzi Jessyka*).

Jessyka. Wołasz mnie ojciec? co masz mi rozkazać?

Szajlok. Jessyko, jestem na obiad proszony.

Weź moje klucze. Ale czemuż idę?

Z pochlebstwa proszą mnie, a nie z przyjaźni.

Lecz pójdę jednak, pójdę z nienawiści,

Rozrzutnych chrześcijan pójdę jeść fortunę.

Ty, moje dziecko, dobrze pilnuj domu.

Z niechęcią idę; dla mej spokojności

Jakieś tu groźne warzy się nieszczęście,

Bo mi się śniło o workach pieniędzy.

Lancelot. Proszę cię, śpiesz się, mój panie, bo mojego pana nie-
cierpliwi twoja nieobecność.

Szajlok. Jak mnie jego.

Lancelot. Jest między nimi zмова. Nie mówię, że zobaczysz
maskaradę; jeśli zobaczysz jednak, to nie darmo puściła
mi się krew z nosa, o szóstej rano, w ostatni czarny po-
niedziałek ¹⁾, jest cztery lata temu, po południu we wstępną
środę.

Szajlok. Co? Maskarada? Słuchaj mnie, Jessyko,

Drzwi mi zarygluj, a jeśli usłyszysz

Odgłos bębenków, piszczałek świstanie,

Pamiętaj, proszę, okna nie otwieraj,

I na ulicę nie wychylaj głowy,

Aby szalonych chrześcijan, pośród gwaru,

Lakierowanym przyglądać się twarzom.

Zatkaj mi uszy domu, to jest okna,

Ażeby puste waryatów tych wrzaski

¹⁾ Czwartego kwietnia 1360 r., drugiego dnia Wielkanocy, gdy wojsko Edwarda III. obozowało pod Paryżem, mróz przypadł tak ciężki, że jazda na koniach umierała od zimna. Odtąd Anglicy poniedziałek wielkanocy nazywali czarnym poniedziałkiem.

Skromnej komnaty ścian nie obrażały.

Nie mam ochoty ucztować dziś w mieście,

Nie mam, przysięgam na łaskę Jakóba,

Lecz pójdę. Ruszaj i powiedz, że przyjdę.

Lancelot. Pójdę i powiem. A ty, młoda panno,
Pomimo przestróg wychyl oknem głowę;
Chrześcijanina ujrzysz na ulicy
Godnego spojrzeń pięknej Żydowicy.

(*Wychodzi*).

Szajlok. Co ci Hagary ¹⁾ potomek ten szeptal?

Jessyka. Powiedział mi tylko: pani, bądź mi zdrowa!

Szajlok. Dobre chłopczysko, tylko żarłok straszny,
Ciężki do pracy, a we dnie śpi więcej,
Niż żbik ²⁾ wśród boru. Nie chcę w moim ulu
Trutni hodować, chętnie go też dałem
Rozpustnikowi, któremu, daj Panie!
Niech dopomoże do przemarnowania
Sum pożyczonych. Bądź zdrowa, Jessyko;
Może być bardzo, że za chwilę wrócę.
Zrób, jak mówiłem: zamknij drzwi na rygiel,
Bo strzeżonego Pan Bóg, mówią, strzeże;
Mądry naukę i z przysłowia bierze.

(*Wychodzi*).

Jessyka. Bądź zdrow! Jeżeli losy mnie nie zwioda,
Ja tracę ojca, a ty córkę młodą.

(*Wychodzi*).

SCENA VI.

Ulica. — Przed domem Szajloka.

(*Gracyano i Salarino w maskach*).

Gracyano. Oto poddasze, pod którym Lorenzo
Zejsć miał się z nami.

Salarino. Już przeszła godzina.

¹⁾ Hagar, Egipczyanka — służebnica patryarchy Abrahama, którą żona jego, Sara, wypędziła na pustynię wraz z synem Izmaelem.

²⁾ Żbik — zwierzę drapieżne z rodziny kotów.

Gracyano. Bardzo się dziwię, że go jeszcze niema.

Kochanek zwykle przed zegarem bieży

Salarino. Dziewięćkroć chyżej Wenery gołębie ¹⁾

Lecą zatwierdzać nowych uczuć węzły,

Niżli dochować raz już danej wiary.

Gracyano. Tak zawsze będzie. Któż wstaje od uczty
Z tym apetytem, z którym zasiadł do niej?
Gdzie rumak, który z równym będzie ogniem
Wracał po drodze, którą raz przemierzył?
Każdy z nas ziemi tej wszystkich piękności
Pragnie goręcej, niżeli używa.
Jak młody panicz, lub jak marnotrawnik,
Wypływa z portu okręt strojny w flagi,
Gnany zalotnych wiatrów uściskami;
Ale powraca, jak syn marnotrawny,
Z podartym żaglem, z piersią skolataną,
Obdarty z bander ²⁾ przez swych zalotników.

(*Wchodzi Lorenzo*).

Otóż Lorenzo. Później więcej o tem.

Lorenzo. Ach, przyjaciele przebaczcie spóźnienie;

Nie mnie, lecz moje wińcie interesy.

Kiedy kraść żony kolej na was przyjdzie,

Jestem gotowy równie długo czekać.

Tu Żyd, mój ojciec, mieszka. Hej! czy słyszysz?

Jessyka (*w oknie, ubrana po męsku*). Kto tam? odpowiedz dla
[mojej pewności,

Choć przysiądz mogę, że głos ten znam dobrze.

Lorenzo. Lorenzo, twoja miłość.

Jessyka. O tak, Lorenzo! o tak, miłość moja!

Bo kogóż więcej kocham? a oprócz ciebie,

Któż wie, Lorenzo, czyli jestem twoją?

Lorenzo. Niebo i twoje myśli są świadkami,

Że jesteś moja.

Jessyka. Lorenzo, co prędzej

Weź tę szkatułkę; warta bacznej straży.

Dziękuję nocy, że mnie nikt nie widzi,

Bo sama własnej przemiany się wstydę.

Lecz miłość ślepa! młodzi kochankowie

Nie mogą widzieć własnych pięknych szaleństw,

A gdyby mogli sam nawet Kupido,

Widząc mnie chłopcem, płonąłby ze wstydu.

Lorenzo. Śpiesz się, bo musisz moją nieść pochodnię.

Jessyka. Jakto? czy własnej hańbie mam przyświecać?

I tak już dosyć jest hańba ta jasna.

Służbę jawności polecasz mi, drogi,

A mnie potrzeba cienia i ukrycia.

Lorenzo. Dosyć cię kryje twoja piękna odzież

Młodego chłopca. Lecz się śpiesz, kochana,

Bo noc ucieka, a na nas Bassanio

Od dawna czeka w przyjaciół swych kole.

Jessyka. Idę drzwi zamknąć, więcej dukatami

Palce ozłocić i za chwilę wróce.

(*Znika*).

Gracyano. Na honor co za wierna z niej niewierna!

Lorenzo. Niech zginę, jeśli nie kocham jej z duszy;

Bo jest roztropna, ile sądzić mogę.

Bo piękna, jeśli oczy me nie kłamią,

I wierna, czego dowody mi dała;

A jak roztropna i piękna i wierna

W mem wiernem sercu władać będzie wiecznie.

(*Wchodzi Jessyka*).

Jesteś gotowa? podwójmy więc kroki,

Bo maskarada nie cierpi już zwłoki.

(*Wychodzi z Jessyką i Salarinem. -- Wchodzi Antonio*).

Antonio. Kto tam?

Gracyano. Antonio? czy też głos mnie zwodzi?

Antonio. Wstydzcie się, wstydzcie, gdzie reszta przyjaciół?

Już po dziewiątej; was tylko brakuje.

Nic z maskarady. Wiatr pomyślny wieje,

Bassanio siada na okręt za chwilę:

Dwudziestu posłów wypchnąłem za wami.

¹⁾ Gołębie uważano w starożytności za ptaki poświęcone Wenerze, bogini miłości.

²⁾ Bandera — flaga okrętowa.

Gracyano. Nie ja się smuce, że plynem tak nagle:
Już rozwinięte chciałbym widzieć żagle.
(*Wychodzą.*)

SCENA VII.

Belmont. — Sala w domu Porcyi.

(*Przy odgłosie trąb wchodzą: Porcy, księżę Maroka i ich orszaki.*)

Porcy. Rozsuń firanki i pokaż szkatułki.

Szlachetny księżu, wybieraj w nich teraz.

Ks. Maroka. Pierwsza ze złota, a na niej te słowa:

»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie«.

Druga jest srebrna z taką obietnicą:

»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.

Trzecia z ciężkiego ołowiu z napisem:

»Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić«.

Po czemże poznam, żem wybrał szczęśliwie?

Porcy. W jednej szkatułce jest portret mój, księżu;

Gdy tę wybierzesz, żoną jestem twoją.

Ks. Maroka. Kieruj mną, Boże. — Wszystkie te napisy

Raz jeszcze jeden rozważmy głęboko.

Cóż ta szkatulka ołowiana mówi?

»Mnie biorąc wszystko na szwank musisz stawić«.

Co? wszystko stawić? a za co? za ołów?

Napis ten grozi. Kto wszystko naraża,

Naraża w wielkich nadziejach wygranej.

Nie do ołowiu myśl się zniży złota;

Nie dla ołowiu wszystko na szwank stawie.

Co mówi srebro w swej dziewiczej bieli?

»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz«.

Pomyśl, Maroku! Ile zasługujesz!

Zważ własną cenę sprawiedliwą ręką;

Jeśli sam twoją stanowić masz wartość,

Wart jesteś wiele; a jednak to wiele,

Jestże już godne tak pięknej nagrody?

Wątpiąc jednakże o mojej zasłudze,

Sam siebie własną potępiam śmiałością.

Ilem zasłużył! Na nią zasłużyłem

Przez urodzenie i przez posiadłości,

Przez moje cnoty, moje wychowanie,

A nadewszystko przez miłość mą ku niej.

Gdybym tu przestał? gdybym srebrną wybrał?

Rozważmy jednak jeszcze złotej napis.

»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie«.

A więc ją wezmę; jej świat cały pragnie.

Z czterech stron świata schodzą się pielgrzymi

Całować ołtarz tej pięknej śmiertelnej.

Hirkańskie puszcze i arabskie piaski

Są teraz bitym gościńcem, po którym

Śpieszą książęta ujrzeć piękną Porcyę.

Wodne królestwa, co usty dummemi

W twarz plują niebu, nie mają dość grozy,

Aby odstraszyć błądzących żeglarzy,

Co po nich, jakby po mrużającej strudze

Płyną, ażeby ujrzeć piękną Porcyę.

W jednej z nich boski jej obraz spoczywa.

Czy wśród ołowiu? Niech będzie przeklęty

Kto śmie tak sądzić! Byłoby potwornie,

W tak ciemnym grobie blasku tyle zamknąć.

Lub miałbym myśleć, że zamknięta w srebrze

Dziesięćkroć tańszem od czystego złota?

O grzeszne myśli! Kiedyż perła taka

W gorszej od złota świeciła oprawie?

W Anglii jest pieniądz z postacią anioła

Na złocie rytą, tylko na powierzchni;

Ale tu anioł na złotej pościeli

Uśpiony leży. Skończyłem wahanie;

Daj klucz, tum wybrał, niech się, co chce stanie!

Porcy. Jeśli w szkatułce tej portret mój leży,

Żoną twą jestem.

(*Księżę Maroka otwiera szkatułkę.*)

Ks. Maroka.

Na ognie piekielne.

Co widzę, tylko hydny szkielec śmierci,

A w pustych oczach papier się bieleje.
I cóż mi powie?

(Czyta).

Nie wszystko ma wagę złota
Co jak złoto czyste świeci;
Niejeden kosztem żywota,
Za jasnym pozorem leci.
W złotym grobie robak gości.
Gdybyś rozum dał krewkości,
Młode serce, stara głowa
Znalazłbyś inne słowa.
Teraz opuść te podwoje,
Bo zimne zaloty twoje.

Wszystko stracone! Niechże moja głowa
Od dnia ucieka, wiecznie wita cienia!
Bądź zdrowa, Porcyo! wśród duszy cierpienia
Żegnać nie umiem. Na wieki, bądź zdrowa!

(Wychodzi).

Porcyo. Zapuść firanki. Szczęśliwej podróży!

Ludziom twej cery niech szczęście twe służy!

(Wychodzi).

SCENA VIII.

Ulica w Wenecyi.

(Salarino i Solanio).

Salarino. Widziałem okręt Bassania pod żaglem,
Z nim na pokładzie stał i nasz Gracyano,
Lecz jestem pewny, nie było Lorenca.

Solanio. Ten Żyd przeklęty krzykiem zbudził dożę,
Poszedł z nim okręt Bassania przetrząsać.

Salarino. Poszedł za późno; okręt był pod żaglem.
Lecz w samym porcie zapewnił ktoś dożę.
Że z swą kochanką, Jessyką, Lorenca
Widział w gondoli na jakimś kanale;
Antonio także przysiągł uroczystie,
Że ich nie było na Bassania statku.

Solanio. Nigdy nie słyszał tak sprzecznych, tak dziwnych,
Tak pomieszanych namiętności krzyków,
Jak były tego psa Żyda wołania:
»O moja córka! o moje dukaty!
Z chrześcijaninem uciekla! ma córka!
Me chrześcijańskie dukaty! ma córka!
Sprawiedliwości! o moje dukaty!
Worek z pieczęcią, dwa worki dukatów,
Samych dublonów! przez córkę skradzione!
Przytem klejnoty, dwa drogie kamienie,
Drogi kamienie! przez córkę skradzione!
Sprawiedliwości! znajdź mi córkę moją,
A z nią dukaty me, klejnoty moje!«

Salarino. Toż dzieci za nim biegają i krzyczą:
»Moje klejnoty, ma córka, dukaty!«

Solanio. Niechże Antonio terminu nie chybi,
Bo za wszystko drogo mu zapłaci.

Salarino. Słuszna uwaga. Rozmawiałem wczoraj
Z francuskim kupcem, który mi powiedział,
Że na rękawie morskim, co rozdziela
Francję od Anglii niedawno zatonął
Wenecki okręt z bogatym ładunkiem.
Słyszając to, w duszy do nieba westchnąłem:
Byle Antonio statku nie był panem!

Solanio. Powinienbyś mu nowinę tę zanieść,
Ostrożnie tylko, by go zbyt nie zmartwić.

Salarino. Duszy piękniejszej nie nosi ta ziemia.
Widziałem, kiedy żegnał się z Bassaniem.
Bassanio mówił, że, o ile zdoła,
Powrót przyspieszy; ale on mu na to:
»Nie naglij tylko interesów dla mnie,
Czekaj cierpliwie, aż czas twój dojrzeje.
Co się zaś tycze układów mych z Żydem,
Niech myśl ta twojej nie chmurzy miłości.
Baw się i całą twoją obróć bacnością
Ku twym zalotom, miłosnym oznakom,
Które ci w Belmont jedynie przystoją.«
Gdy mówił lzy mu błyszczały w żrenicach;

Podał mu rękę z odwróconą twarzą,
A z głębokiego uczucia wyrazem
Ścisnął mu dłonie — i tak się rozstali.
Solanio. Dla niego tylko życie zda się kochać.
Idźmy do niego, szukajmy rozrywek,
Któreby mogły wyгнаć czarne myśli
Z jego umysłu.

Salarino. Nie traćmy więc czasu,
(*Wychodzą.*)

SCENA IX.

Belmont. — Sala w domu Porcyi.

(*Neryssa i służący.*)

Neryssa. O, śpiesz się, śpiesz się! rozsuń te firanki,
Bo już wykonał książę Aragoński ¹⁾
Swoją przysięgę i wybierać daży.
(*Przy odgłosie trąb wchodzi: Porcyja, książę Aragoński i ich dwory.*)

Porcyja. Szlachetny książę, oto są szkatułki,
Jeśli tę, w której portret mój, wybierzesz,
Książdz na nas czeka u ślubnych ołtarzy;
Lecz jeśli zbłądzisz, to pałac ten, książę,
Musisz bez zwłoki na zawsze opuścić.

Ks. Aragoński. Do trzech przysięgą związałem się rzeczy:
Naprzód nikomu nigdy nie wyjawić,
Którą szkatułkę wybrałem; powtóre,
Jeśli się w moim wyborze omyle,
Nie szukać innej dziewicy za żonę;
Nakoniec, jeśli zawiodą mnie losy,
Natychemiast dom ten opuścić na zawsze.

Porcyja. Na te warunki każdy przysiędz musi,
Co mnie niegodną za żonę chce dostać.

Ks. Aragoński. Teraz, fortuno, wspieraj me nadzieje!
Widzę tu złoto, srebro, podły olów.

¹⁾ Aragonia — prowincya północnej Hiszpanii.

»Mnie biorąc, wszystko na szwank musisz stawić.
Przody jaśniejszy blask musisz rozniecać,
Zanim dla ciebie wszystko na szwank stawię.
Zobaczmy teraz co powiada złoto:
»Mnie biorąc, weźmiesz, czego wielu pragnie.«
Wielu; lecz może ten napis przez wielu
Rozumie tłumy głupiego motłochu,
Który z pozorów o wyborze sądzi,
Nie widzi tylko, co mu w oczy bije,
W głąb nie przenika, ale jak jaskółka
Na zewnątrz muru gniazdo swe buduje,
Na wielkiej drodze przygody i burzy.
Nie ja wybiorę, czego wielu pragnie,
Bo nie chcę, razem z barbarzyńską tłuszcza,
Z pospolitymi umysły iść w parze.
Do ciebie teraz srebrny idę skarbie;
Powiedz mi jeszcze raz, jaki twój napis.
»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz.«
Głębokie słowo! Bo i któżby gonil
Za uśmiechami zwodniczej fortuny,
Gdyby znaczony nie był zasług piętnem?
Niech nikt godności znamion nie przybiera,
Jeśli zasługa prawa mu nie daje.
O, gdyby ziemie, stopnie i urzędy
Nie były ręką przedajną dzielone!
Gdyby honory płaciła zasługa!
Iluż, co stoi z odslonionem czołem,
Wdziałoby czapki! Iluż, co rozkazy
Dzisiaj wydaje, słuchaćby musiało!
Ileż podłego znalazłbym metalu
W czystego niegdyś honoru nasionach!
A ile znowu wyrwałbym honoru
I z plew i z gruzów zawistnego czasu!
Lecz do wyboru! Szkatulka ta mówi:
»Mnie biorąc, weźmiesz, ile zasługujesz.«
Co zasłużyłem, biore; daj mi klucze,
Niech się natychmiast rozstrzygną me losy.

Porcyja. Wybór twój niewart tak długiej rozważki.

Ks. Aragoński. Co widzę? Szpetny idyoty portret,
Z obłądnem okiem, papier trzyma w ręku.
Jakżeś do pięknej niepodobny Porcyi,
Do mej nadziei i do zasług moich!
»Mnie biorąc, weźmiesz ile zasługajesz«.
Tylkoż na głupca głowę zasłużyłem?
Toż me zasługi? toż moja wygrana?

Porcy. Błądzić i sądzić, książe, są dwie role
Różnej natury.

Ks. Aragoński. Co powiada karta?
(*Czyta.*)

Jak metal, co jest bez skazy,
Tak być musi siedem razy
Hartowany sąd człowieczy.
Aby dobrze wybrać wszędzie;
Ten, co bierze cień za rzeczy,
Dola jego cieniem będzie.
Znasz ty głupstwo posrebrzone?
Takim głuptwem było twoje:
Jakąkolwiek pojmiiesz żonę
Będiesz nosił głowę moje.
A więc opuść te podwoje.

Gdybym w tym domu pragnął zostać dłużej,
Dawnej głupocie przydam tylko nową;
Wjechałem tutaj z jedną głupią głową,
Ale ze dwiema powrócę z podróży.
Dotrzymam wiernie danego ci słowa,
W milczeniu cierpiąc. Porcyo, bywaj zdrowa!

(*Wychodzi.*)

Porcy. Spaliła świeca skrzydelka motyle.
Przemądre głupcy! którym dały nieba
Dowcipu w głowach tylko właśnie tyle,
Ile do zguby własnej im potrzeba.

Neryssa. Raz jeszcze stare przysłowie sprawdzone:
Stryczek i żona z góry przeznaczone.

(*Wchodzi służący.*)

Służący. Gdzie nasza pani?

Porcy. Co masz za nowiny?

Służący. Przed bramą zamku tej chwili zsiadł z konia
Młody Weneczyk, który zapowiada
Swojego pana niebawne przybycie,
Przynosi razem piękne pozdrowienie,
To jest, prócz grzecznych słów i zaleceń,
Bogate dary. Dotąd nie widziałem
Równie pięknego posłańca miłości.
Nigdy dzień słodszy w kwietniu nie zabłysnął,
Zapowiadając blizkie drogie lato,
Jak ten przed panem swoim młody biegun.

Porcy. O, dosyć na tem, bo lękam się bardzo,
Abyś nie dodał, że krewnym jest twoim,
Gdy tak marnujesz dowcip swój świąteczny,
Śpieszmy, Nerysso; posłaniec tak grzeczny
Wart, żeby jego przyjąć powitanie.

Neryssa. Niech to Bassanio będzie, daj, o Panie!
(*Wychodzą.*)

AKT TRZECI.

SCENA I.

Ulica w Wenecyi.

(*Solanio i Salarino.*)

Solanio. Co nowego na Rialto?

Salarino. Utrzymuje się dotąd pogłoska, że bogato ladowny
okręt Antonia rozbił się na kanale, w miejscu zwanem,
zdaje mi się Goodwins. Niebezpieczna to i fatalna mie-
lizna, w której kadłuby wielu wysmukłych okrętów leżą
pogrzebane, jeśli kumoszka wieść nie kłamie.

Solanio. Chciałbym, żeby tym razem kłamała, jak wdowa, która
chce wmówić w sąsiadki, że płacze po śmierci trzeciego
męża. Prawda jednak, żeby mówić, bez ogródek, a nie
mijać się z prostym gościńcem szczerości, prawda, że do-

bry Antonio, uczeiwy Antonio — o, gdybym znalazł przymiotnik godny nazwisku jego towarzyszyć! —

Salarino. Skończ, proszę.

Solanio. Ha, nie wiesz, o co pytasz, ale skończę — stracił okręt.

Salarino. Gdyby się na tem straty jego skończyły!

Solanio. Amen! wołam co prędzej, żeby dyabeł nie zaszedł drogi w modlitwie, bo widzę, że się zbliża postać Żyda. (*Wchodzi Szajlok*). Dzień dobry, Szajloku. Co za nowiny między kupcami.

Szajlok. Wyście wiedzieli — nikt lepiej, och! nikt od was lepiej — wyście wiedzieli o ucieczce mojej córki.

Salarino. Bez wątpienia. Ja przynajmniej znalazłem krawca, który jej uszył skrzydła do lotu.

Solanio. A Szajlok wiedział także ze swej strony, że ptaszek porósł już w pierze; a w naturze podlotków, że odlatują z gniazda.

Szajlok. Potępiona za to!

Salarino. Bez wątpienia, jeśli dyabeł jest jej sędzią.

Szajlok. Ciało moje i krew moja zbuntowane!

Solanio. Wstydź się! stare ścierwo buntuje się jeszcze w twoim wieku?

Szajlok. Mówię o córce, która jest ciałem i krwią moją.

Salarino. Większa jest różnica między twojem, a jej ciałem, niż między hebanem a słońową kością; większa między krwią waszą, niż między czerwonym a reńskim winem. Ale powiedz, czy słyszałeś o jakich statkach Antonia i a morzu?

Szajlok. I tu znowu zły interes. Bankrut, marnotrawnik, który ledwo śmie głowę na Rialto pokazać; żebrak, który zwykle tak wymuskany na plac przychodził. Niech baczy na swój oblig; zwykle mnie lichwiarzem nazywał; niech baczy na swój oblig; zwykle pieniądze przez chrześcijańską miłość rozpożyczał; niech baczy na swój oblig.

Salarino. Pewny jestem, że jeśli się nie uści, nie weźmiesz przecie jego mięsa; i na cóżby ci się przydało?

Szajlok. Na rybią ponętę. Jeśli nie nasyci nikogo, to nasyci moją zemstę. Zniesławił mnie; przeszkodził pół miliona zarobić; śmiał się ze strat moich, sztydził z moich zysków, gardził moim narodem, moje spekulacje krzyżował, ziębił

moich przyjaciół, moich nieprzyjaciół zagrzewał: a dla jakich powodów? bo jestem Żydem. Alboż Żyd nie ma oczu? alboż Żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć i namiętności? alboż się nie żywi tym samym pokarmem, ran nie odbiera od tej samej broni, nie ulega tym samym chorobom, nie leczy się temi samemi lekarstwami, nie grzeje się i nie oziębia tem samem latem i tą samą zimą co chrześcijanin? Gdy nas ukłujesz, czy nam krew nie ciecze? czy nie śmiejemy się, kiedy nas lechcesz? kiedy nam truciznę zadasz, czy nie umieramy? a gdy nas pokrzywdzisz, nie mamyż pomsty szukać? Podobni wam we wszystkim i w tem będziemy podobni. Pokrzywdzony przez Żyda chrześcijanin czem swoją pokorę objawia? zemstą. Żyd przez chrześcijanina pokrzywdzony, wierny chrześcijańskiemu przykładowi, czem swojej cierpliwości dowiedzie? zemstą. Złość, której mnie uczycie, do was zastosuję, a źleby było, gdybym nie ulepszył nauki.

(*Wchodzi służący*).

Służący. Pan mój, Antonio, czeka na was u siebie i pragnie z wami mówić.

Salarino. Właśnie szukaliśmy go wszędzie.

(*Wchodzi Tubal*).

Solanio. Otóż i drugi z pokolenia; trzeciego im nie dobierzesz, chyba sam dyabeł stanie się Żydem.

(*Salarino i Solanio wychodzą*).

Szajlok. I cóż, Tubalu? Jakie nowiny z Genui mi przynosisz? Czy znalazłeś moją córkę?

Tubal. Słyszałem o niej często, lecz nie mogłem jej znaleźć.

Szajlok. Ach, ach, ach! przepadł dyament, który mnie w Frakfurcie dwa tysiące dukatów kosztował! Teraz dopiero spadło przekleństwo na nasz naród; nie czulem go dotąd. Jeden dyament dwa tysiące dukatów! a prócz tego inne, drogie klejnoty! Chciałbym córkę trupem u nóg mych widzieć, a klejnoty w jej uszach! chciałbym, żeby w trumnie u nóg mych leżała, a klejnoty były w trumnie! Żadnej o nich wiadomości! jakto? a ja tu, nie wiem już jak wiele, na szukanie ich wydałem! Strata goni za stratą!

Złodziej uniósł tyle, a tyle na znalezienie złodzieja! a żadnego zadośćuczynienia, żadnej zemsty! Niema nieszczęścia, tylko na moich barkach, niema westchnień tylko w moich piersiach, niema łez, tylko w moich oczach.

Tubal. O nie, i na innych spadają nieszczęścia. Antonio, jak słyszałem w Genui...

Szajlok. Co? co? nieszczęście? nieszczęście?

Tubal. Stracił bogaty okręt, wracający z Trypolisu.

Szajlok. Dzięki Bogu! dzięki Bogu! Ale czy to tylko prawda? Czy prawda?

Tubal. Rozmawiałem z majtkami, którzy uratowali się z rozbicia.

Szajlok. Dziękuję ci, uczciwy Tubalu. Dobre nowiny, dobre nowiny! ha! ha! gdzie? w Genui?

Tubal. Córka twoja przetrwonila w Genui, jak słyszałem, w jednej nocy, ośmdziesiąt dukatów.

Szajlok. Utopiłeś mi sztylet w sercu. Nie zobaczę się już nigdy z mojem złotem! Ośmdziesiąt dukatów naraz! Ośmdziesiąt dukatów!

Tubal. Przybyłem do Weneeyi w towarzystwie kilku wierzycieli Antonia; wszyscy zapewniają, że musi zbankrutować.

Szajlok. Co za radość! Będę go dręczył, będę go męczył. Co za radość!

Tubal. Jeden z nich pokazywał mi pierścień, który dostał od twojej córki za małpę.

Szajlok. Ha, żeby ją!... Męczysz mnie, Tubalu. To był mój turkus; dostałem go od Lii, kiedy byłem jeszcze kawalerem. Za całą puszcę małp byłbym go nie dał.

Tubal. Ale Antonio niezawodnie zrujnowany.

Szajlok. Prawda, wielka prawda! Idź, Tubalu, najmij mi woźnego, zamów go na dwa tygodnie przed terminem. Wydrę mu serce, jeśli się nie uiszi. Bylem się jego pozbył z Weneeyi, będę mógł, jakie zechcę kontrakty zawierać. Idź, Tubalu. Znajdziej mnie w boźnicy; idź dobry Tubalu; w boźnicy, Tubalu.

(*Wychodzą.*)

SCENA II.

Belmnot. — Sala w domu Porcyi.

(*Bassanio, Porcyia, Gracyano, Neryssa dwór. — Widać odślonięte szkatulki.*)

Porcyia. Wstrzymaj się, proszę, dzień lub dwa dni jeszcze;

Bo jeśli w nagłym zmylisz się wyborze,
Utracam mile twoje towarzystwo.

Coś mi tu szeptce, (ale to nie miłość)

Żeby cię stracić nie chciała; wiesz dobrze,
Podobnej rady nie daje nienawiść.

Bojąc się, żebyś źle mnie nie zrozumiał,
(Choć dziewięć myśli dziewięć są językiem)

Chciałabym parę wstrzymać cię miesięcy,
Nim pójdziesz ręki mej szukać w wyborze.

Wprawdziebym mogła wskazać ci szkatulkę,
Ale byłoby to krzywoprzysięgać,

A nie chcę winną być krzywoprzysięstwa,
Więc możesz w twoim pobłądzić wyborze,

A wtedy, wtedy wolałabym zgrzeszyć
I krzywoprzysiędz. Przeklęte twe oczy

Swoim mnie czarem rozcięły na dwoje;
Cześć jedna twoją i druga jest twoją,

Chcę mówić, moją; lecz moje jest twoje,
Więc wszystko twoje. O, czasy okrutne,

Co właściciela od praw jego dzieła,
I chociaż twojej bronią zostań twoją!

Jeśli tak będzie, niech od piekła za to,
Nie ja, lecz moja zapadnie fortuna!

Tak długo mówię, tylko, by czas zwlekać,
Wybór twój wstrzymać.

Bassanio. Pozwól mi wybierać,
Bo teraz żyję jakby na męczarniach.

Porcyia. Jak na męczarniach? Więć wyznaj, Bassanio,
Jaka się zdrada z twą miłością miesza.

Bassanio. Ach! tylko szpetna zdrada wątpliwości,
Czy zdołam osiąść, co kocham tak wiernie;

Bo równie łatwo śnieg z ogniem sprzyjać, Jak miłość moją zjednoczyć ze zdradą.

Porcya. Ty może mówisz, jak człek na męczarniach, W boleściach mówić, co kto chce, gotowy.

Bassanio. Zaręcz mi życie, a wyznam ci prawdę.

Porcya. Więc żyj a wyznaj.

Bassanio. Raczej żyj a kochaj, Jest całą treścią mego wyznania.

Drogie męczarnie, kiedy kat mój własny Sam mi zbawienia podsuwa odpowiedź! Lecz pozwól moim rozstrzygnąć się losom.

Porcya. Zamknięta jestem w jednej z tych szkatulek;

Jeśli mnie kochasz odkryjesz mnie łatwo.

A teraz wszyscy na bok się usuńcie.

Niech wyborowi pieśni towarzyszą;

Jeśli poblądzi, niech jak ląbędz kona.

Mdleje wśród pieśni. Żeby porównanie

Było zupełne, lzy me strugą będą

I mokrym grobem jego; jeśli wygra,

Pieśń wtedy będzie jako trąb odgłosy,

Kiedy poddani, w dzień koronowania,

Swego nowego witają monarchę;

Jak słodkie tony, które w dniu poranku

Z rozkosznych marzeń budzą oblubieńca,

I do ołtarza wolają. — Już idzie,

Z równą powagą, lecz większą miłością,

Niż młody Alcyd, gdy płaczącą Troję

Od dziewiczego wyzwolił haraczu,

Który potworze morskiej opłacała.

Jam jest ofiarą; to dardańskie ¹⁾ córki,

Co, trwogą blade, przyszły widzieć koniec;

Strasznej rozprawy. Śmiało, Herkulesie!

Żyj, a ja żyję. Na bój patrząc srogi,

Więcej się lękam niż szermierz mój drogi.

(Bassanio rozważa w milczeniu napisy szkatulek. — Muzyka).

¹⁾ Dardane* — mityczny protoplasta Trojan, zwanych stąd czasem Dardasami.

Pieśń. Powiedz, gdzie się miłość rodzi?
Czy w głowie czy w sercu wschodzi?
Co ją żywi? co ją płodzi?
Powiedz! Powiedz!

W jasnych oczach urodzona,
Blaskiem oczu wykarmiona,
A w kolebce swojej kona,
Więc miłości głośmy zgon;
Ja zaczynam: don, dyn, don!

Wszyscy. Don, dyn, don!

Bassanio. Boć blask pozorny może nicość słońc.

Świat ciągle zwodzi ozdoba powłoka.

Bo w sądach naszych gdzież jest tak zła sprawa,

Któraby, słodkimi okraszona słówkiem,

Wad swych nie skryła? a jestże w religii

Herezya taka, co nie ma kapłana

Z poważną miną, zawsze gotowego

Pobłogosławić i tekstem ją stwierdzić,

Pięknem ubraniem słońc jej ohydę?

Niema występku, któryby zarazem

Na zewnątrz cnoty jakiej nie miał piętna.

Iluż to tchórzów, których pierś zwodnicza

Jest walem z piasku; choć na twarzy noszą

Brodę Alcyda lub gniewnego Marsa,

To serce mają tak białe jak mleko?

Tylko narosty odwagi przybrali,

Aby świat trwożyć. Przyjrzyj się piękności,

A znajdziesz, że jest na wagę kupiona,

Że towar cuda z kobietami robi,

Że te się właśnie najłżejsze wydają,

Które najwięcej nabrały towaru.

Te złote, jak wąż wijące się sploty,

Z którymi wiatry rozkosznie igrają,

Blaskiem zwiędzione, wprzódy należały

Do czaszki, która dawno w grobie leży.

Tak więc strój tylko zwodniczym jest brzegiem

Zdradnego morza, albo szarfą uroczą,

Indyjską piękność przed okiem słończą.



Pozorną prawdą, przez którą czas chytry
 I mędrców zwodzi. Więc błyszczące złoto,
 Mijam cię twardy Midasa pokarmie,
 I ciebie, blady, zwykły pośredniku
 Ludzkich układów. Ty, biedny, ołowiu,
 Co raczej grozisz, niżli obiecujesz,
 Ja nad wymowę cenę twoją bladeść,
 Ciebie wybieram, daj mi złotą radość!

Porcya. Jak wszystkie inne uczucia topnieją!
 Rozpacz, co już się żegnała z nadzieją,
 Trwoga i zazdrość z żrenicą zieloną!
 Hamuj, miłości, radość twą szaloną!
 Sącz po kropelce rozkosz do mej duszy,
 Albo jej zbytęk wątłe ciało skruszy!
 Lękam się zbytęku.

Bassanio (*otwierając ołowianą szkatułkę*),

O Boże, co widzę?

Porcyi oblicze! I jakiż pół-bożek
 Na ziemię zstąpił? Czy oko jej mruga?
 Lub czyli tylko z oczu moich stoku
 Ruszać się zdaje? Usta jej rozdziela
 Cukrowy oddech; tak słodka przegroda
 Tak słodkich dzielić powinna przyjaciół.
 Włosy jej malarz, jak pająk, powikłał,
 Złote ich sploty przemienił w tkaninę,
 Co ludzkie serca niezawodniej chwytą,
 Niż sieć pojęcza muchy i komary.
 Jej oczy! Jakże oddać mógł te oczy?
 Kiedy z nich jedno, wiernie przedstawione,
 Dość miało sily ukraść jego oba,
 I w środku pracy zatrzymać malarza?
 Lecz jak pochwały me niżej są wdzięków
 Tego tu cienia, tak daleko znowu
 Ten cień jest niżej wdzięków swego wzoru.
 Lecz pismo jakiż los mi zapowiada?

(*Czyta*).

Ty, coś nie sądził z pozoru,
 Wniosłeś szczęście do wyboru.

Skarbem takim wzbogacony,
 Czego szukać ci potrzeba?
 Jeśliś rad jest z takiej żony,
 Z takich błogosławieństw nieba,
 Na jej licach koralowych
 Wyciśń pieczęć swych praw nowych.

Jak słodki rozkaz! posłuszeństwo skore.

(*Całuje ją*).

Na rozkaz, pani, i daję, i biore.
 Jak na igrzyskach, kiedy szermierz młody
 Czuje w zapasach, że wart jest nagrody,
 Gdy grzmot oklasków wstrząsł teatru ściany,
 Niepewne oko toczy, jak pijany,
 Niby się pyta: »Mnie to powitanie?«
 W równym, o piękna, wątpliwości stanie,
 Ufności nie mam w mojem szczęściu nowem,
 Póki ty, droga, nie stwierdzisz je słowem.

Porcya. Bassanio, widzisz mnie teraz przed sobą
 Taką, jak jestem. Choć dla siebie samej
 O nicbym więcej nie prosiła nieba,
 Dla ciebie jednak pragnęłabym stać się
 Stokroć piękniejszą, tysiąckroć bogatszą;
 Żeby w twych oczach większą zyskać cenę,
 Chciałabym wszelki prześcignąć rachunek
 W cnotach, piękności, skarbach, przyjaciółtach.
 Ale, ach! cała wartości mej suma
 Wynosi — zero. Bo i cóż ją składa?
 Dziewczyna prosta i bez doświadczenia,
 Szczęśliwa tylko, że młoda jest jeszcze,
 Kształcić się zdolną; a stokroć szczęśliwsza,
 Że ma zdolności, które kształcić może,
 A najszczęśliwsza, że giętki swój umysł
 Pod twój, Bassanio, oddaje kierunek,
 Byś jej był panem, rządząc jej i królem.
 Ja i co moje teraz się przemienia
 W ciebie i twoje. Krótka chwila temu,
 Tego pałacu, sług tych byłam panią,
 Własną królową; lecz teraz, już teraz

Ten dom, ci służy, a nawet ja sama,
Wszystko to twoje, wszystko ci oddaję
Wraz z tym pierścieniem. Jeśli pierścień stracisz,
Albo dasz komu, to będzie mi znakiem,
Że twoja dla mnie miłość przeminęła,
Że będę mogła skarżyć się na ciebie.

Bassanio. Słowa twe, pani, niemym mnie zrobiły,
Tylko w mych żyłach krew ci odpowiadają.
W mych wszystkich myślach takie zamieszanie,
Jakie się rodzi po wymownym głosie
Drogiego księcia wśród szemrzących tłumów,
Gdy szmer tysięcy, pomieszany razem,
Rośnie w ton dziki głośnego wesela,
Wyraźnych uczuć znamię niewyraźne.
Pierścień ten z palca tylko z życiem spadnie;
Mów wtedy śmiało: »Bassanio mój skonał«.

Neryssa. Pani ma, panie, teraz na nas kolej,
Cośmy na wasze patrzyli wesele:
Więc szczęście wam, Boże! mój panie, ma pani.

Gracyano. Dobry Bassanio, i ty, dobra pani,
Niech wszystkie wasze spełnią się życzenia,
Bo i wy moich spełnienia pragniecie.
Gdy czas nadejdzie, w którym zamierzacie
Ślubować sobie wiarę, pozwolicie,
Że i ja z żoną stanę przed ołtarzem.

Bassanio. I owszem, jeśli żonę tę znalazłeś.

Gracyano. Dzięki ci, panie; tobie ją winienem.
Żrenice moje tak, jak twoje, bystre;
Tyś ujrzał panią, ja jej powiernicę;
W jednym spojrzeniu, jak ty, pokochałem,
Bo, jak ty, również zwłoki nienawidzę.
Twój los był w tamtych zamknięty szkatułkach;
Tam moje także były przeznaczenia.
Bo gdy w umizgach poty na mnie bily,
Gdy mi schło w gardle wśród przysięg miłosnych,
Po długiej walce otrzymałem przecie
Słowo nadziei — jeśli godna wiara —

Że mi odpłaci miłość wzajemnością,
Byleś ty zdołał wygrać pani rękę.

Porcyo (*do Neryssy*). A ty, co na to?

Neryssa. Wszystko prawda, pani,

Byle to z twoją zgadzają się wola.

Bassanio. A ty, Gracyano, czy chcesz w wierze dotrwać?

Gracyano. Chcę, na mój honor.

Bassanio. Ślub wasz, Gracyano,

Niemalą blasku i naszemu przyda.

Gracyano. Założmy się z nimi, kto będzie miał pierwszego
chłopca, o tysiąc dukatów.

Lecz któż to? Ze swą niewierną Lorencą,

A z nimi stary przyjaciel Solanio.

(*Wchodzą: Lorenzo, Jessyka, Solanio*).

Bassanio. Witaj, Lorenzo! witaj mi Solanio!

Jeśli mi młode szczęście prawo daje

Witać was tutaj. Przebacz, droga Porcyo,

Jeśli tak witam dwóch moich współziomków,

Starych przyjaciół.

Porcyo. I ja, razem z tobą,

Przyjaciół twoich szczerem witam sercem.

Lorenzo. Dzięki ci, pani. Co do mnie, Bassanio,

Nie miałem myśli odwiedzić cię tutaj,

Ale, gdym spotkał Solania wśród drogi,

Nie mogłem jego oprzeć się życzeniom.

Solanio. Prawda, a miałem do tego natręctwa

Ważne powody. Dobry nasz Antonio

Twej się poleca pamięci. (*Oddaje mu list*).

Bassanio. Solanio,

Nim list otworzę, zaspokój mnie wprzód,

Mów mi o zdrowiu mego przyjaciela.

Solanio. Jeśli jest chory, to chyba na duszy,

Chyba na duszy, jeżeli jest zdrowy.

List powie resztę.

Gracyano. Proszę cię, Nerysso,

Idź i powitaj tę obcą kobietę.

Daj dłoń, Solanio. I cóż tam w Wenecji?

Co tam porabia królewski nasz kupiec?

Wiem, że go nasza ucieszy pomyślność:
Jak nowy Jazon, zyskaliśmy runo.

Solanio. Bodaj to było runo, które stracił!

Porcya. Papier ten musi niezwykle być treści:
Wszystek rumieniec z jego liców kradnie.
Czy przyjaciela śmierć? bo cóż innego
Tak nagle może twarz całą przemienić
Silnego męża? Coraz, coraz gorzej!
Pozwól, Bassanio, jestem twą polową,
Mam przeto prawo do jednej polowy
Utrapię twoich.

Bassanio. Słodka moja Porcya,
Ach, to są słowa najczarniejszej treści,
Co kiedykolwiek papier pokalały!
Kiedym ci pierwszy raz miłość mą wyznał,
Nie kryłem prawdy, że całym mym skarbem
Była w mych żyłach moja krew szlachecka.
Mówilem szczerze. Jednak, droga moja,
Ujrzysz, że nawet ceniąc się tak nisko,
Jeszcze zbyt wiele samochwalstwa miałem.
Mówiąc, że mienie moje było niczem,
Winienem dodać: było mniej, niż niczem,
Bo zaciągnąłem dług u przyjaciela,
Który, by mojej dogodzić potrzebie,
Z śmiertelnym wrogiem wejść musiał w układy.
Ten list, jak mego przyjaciela ciało,
Każde w nim słowo jest otwartą raną,
Z której krew ciecze! — Lecz powiedz, Solanio,
Czy wszystkie statki, czy wszystkie przypadły?
Z Anglii, Trypolis, Meksyku, Lizbony,
Indyi, Algieru? Czy żaden nie uszedł
Morderczych łotknień skal przykrytych wodą?

Solanio. Żaden, Bassanio. Zdaje się, prócz tego,
Że, gdyby nawet i miał dziś pieniądze,
Żydby ich przyjąć nie chciał. Nigdy jeszcze
Nie widział wilka pod czлека postacią,
Coby łakomszy był na krew bliźniego.
We dnie i w nocy uprzykrza się doży,

Oskarża prawa rzeczypospolitej,
Jeśli odmówią mu sprawiedliwości.
Dwudziestu kupców, doża i najpierwsi
Senatorowie próżno go błagali,
Zawsze i zawsze on powtarza swoje:
Prawo i kontrakt i złamane słowo.

Jessyka. Pamiętam, kiedy jeszcze byłem w domu,
Jak przed Tubalem i Chusem przysięgał,
Że woli mięsa jego drobną cząstkę,
Niżli dwadzieścia razy wartość sumy,
Którą mu winien; wiem zbyt dobrze tylko,
Że, jeśli prawo zapory nie stawi,
Twardy los będzie biednego Antonia.

Porcya. Twójże przyjaciel w takich jest kłopotach?

Bassanio. O, mój najlepszy, najdroższy przyjaciel,
Szlachetne serce, dusza nieznużona
W czynieniu dobrze! Jak Włochy szerokie,
Mąż nie oddycha, któregoby czyny
Wskrzesały lepiej stary rzymski honor.

Porcya. Jak wielką sumę zaciągnął u Żyda?

Bassanio. Trzy mu tysiące winien jest dukatów,
A winien za mnie.

Porcya. Jakto? i nie więcej?

Więc sześć mu zapłać, byle oblig zniszczyć;
Lub podwój, potrój sumę, jeśli trzeba,
Wprzód, nim przyjaciel tak dobry, tak rzadki,
Włos jeden straci dla mego Bassania.
Naprzód, w kościele daj mi żony imię,
Do przyjaciela potem, do Wenecyi!
Bo nie położysz głowy przy twej żonie,
Póki w twej duszy niepokój ten gości.
Będiesz miał złota dosyć, jeśli trzeba,
Aby dwadzieścia razy dług ten spłacić.
Zapłać, a potem wracaj z przyjacielem.
Ja tu z Neryssą, jakby dwie dziewice,
Jakby dwie wdowy czekać was będziemy.
Śpieszmy! bo musisz w dzień ślubu mnie rzucić;
Pozdrów przyjaciół, a przestań się smucić;

Drogi mi będziesz, boś drogo kupiony.

Ale odczytaj mi list przyjaciela.

Bassanio (*czyta*). Kochany Bassanio, wszystkie moje okręty przepadły; moi wierzyciele codzień niemilosierniejsi, moje położenie codzień gorsze. Termin wypłaty Żydowi już przeminął; a że, dopełniając następnych warunków, żyć nie mogę, wszystkie rachunki między nami będą pokwitowane, byłem cię ujrzał raz jeszcze przed śmiercią. Mimo tego jednak, słuchaj własnego tylko natchnienia; jeśli cię przyjaźń nie będzie naglić do powrotu, niech cię mój list nie nagli.

Porcya. Mój drogi, odłóż wszystkie interesy
A śpiesz się.

Bassanio. Droga, żegnam się więc z tobą;
Śpieszę do miasta, do mych przyjacieli;
Nie będzie winą snu ani pościeli,
Jeśli choć jedną powrót spóźnię doba.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Ulica w Wenecyi.

(*Szajlok, Salarino, Antonio i stróż więzienia*).

Szajlok. Strózu, bądź baczny. Nie mów o litości.
Głupi, kto pieniądź gratis ¹⁾ rozpozycza.
Strózu, bądź baczny.

Antonio. Słuchaj mnie, Szajloku...

Szajlok. Chcę mieć mój oblig, muszę mieć mój oblig,
Przysiągłem na to — próżna gadanina.
Psem mnie nazwałeś, przód nim miałeś powód;
Gdy więc psem jestem, strzeż się moich zębów.
Doża wymierzyć musi sprawiedliwość.
Dziwię się, strózu, że tak lekkomyślnie,
Na więźnia prośbę po mieście z nim chodzisz.

Antonio. Proszę cię, słuchaj mnie, dobry Szajloku...

¹⁾ Gratis (z łac.) — bezpłatnie, darmo.

Szajlok. Muszę mieć oblig, a nie chcę cię słuchać.
Muszę mieć oblig — nie mów do mnie więcej.
Nie chcę być miękkim, zapłakany m głupcem,
Potrzasać głową, wzdychać i ustąpić
Mych chrześcijańskich nieprzyjaciół prośbom.
Próżne gadanie — muszę mieć mój oblig!
(*Wychodzi*).

Salarino. Żyd ten przeklęty, ach, to pies najtwardszy,
Co kiedykolwiek żył pomiędzy ludźmi!

Antonio. Dość tego; próśb tych daremnych już dosyć!
Śmierci mej pragnie: wiem dobrze dlaczego:
Nieraz ja z szponów jego wyzwoliłem
Biednych, co na czas zgłosili się do mnie;
Stąd ta nienawiść.

Salarino. Doża nie zezwoli
Na wykonanie takiego obligu.

Antonio. Doża hamować biegu praw nie może,
By cudzoziemcom nie dać w podejrzenie
Sprawiedliwości naszych trybunałów,
Pomny, że miasta naszego bogactwo
Spoczywa całe na ufności kupców.
Straty i troski tak mnie wycieńczyły,
Że mi za ledwo funt mięsa zostanie
Na wierzyciela mojego dług krwawy.
Strózu, wracajmy. Bylebym przed śmiercią
Bassania ujrzał, o resztę nie stoję.
(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Belmont. — Pokój w domu Porcyi.

(*Porcy*a, *Neryssa*, *Lorenzo*, *Jessyka* i *Baltazar*).

Lorenzo. Pani, choć mówiąc skromność twą obrażę,
Wyznam, że w myślach szczytne masz pojęcie
Boskiej przyjaźni, czego dziś dowodzisz,
Tak stale znosząc męża twego odjazd.

A gdybyś jeszcze wiedziała, o pani,
 Ile szlachetnej pomagasz osobie,
 Ile do męża twego przywiązanej,
 Wiem, żebyś w sercu więcej czuła dumy,
 Więcej, niż dobroć pospolita wzbudza.

Porcya. Nie żalowałam nigdy dobrych czynów,
 I dziś nie będę. W towarzyszach bowiem,
 Którzy pospolu dnie żywota pędzą,
 Których myśl jedno jarzmo uczuć sprzega,
 Musi być równa miara i stosunek
 Ducha, zwyczajów, chęci i skłonności;
 To mi więc każe sądzić, że Antonio,
 Jako serdeczny przyjaciel Bassania,
 Musi być jemu podobny; w tym razie
 Jakże niewielkim, jak ubogim kosztem
 Duszę pokrewną mojej wykupiłam
 Od piekielnego okrucieństwa Żyda.
 Ale to wszystko zbyt technie samochwałstwem,
 Więc przejdźmy raczej do innej rozmowy.
 Słuchaj mnie teraz; Lorenzo, w twych rękę
 Zostawiam cały zarząd mego domu
 Aż do powrotu Bassania. Co do mnie,
 Tajną przysięgą niebu ślubowałam,
 Że na modlitwach i na rozmyślaniu,
 Z Neryssą, jedną tylko towarzyszką,
 Czas będę pędzić do powrotu męża.
 Jest cichy klasztor, odległy dwie mile,
 Tam się zamkniemy. Nie odmawiaj, proszę,
 Usługi, którą przyjaźń i konieczność
 Wkładają na cię.

Lorenzo. Pani, całym sercem;
 Słusznych rozkazów zawszem słuchać gotów.

Porcya. Mój dwór, o mojej uprzedzonej woli,
 Będzie poważał ciebie i Jessykę,
 Jak mnie i męża mojego Bassania.
 Więc bądźcie zdrowi aż do zobaczenia!

Lorenzo. Szczęśliwe myśli niech ci towarzyszą!

Jessyka. Niech radość spłynie na serce twe, pani!

Porcya. Dobre życzenia życzeniem odpłacam:
 Bądźcie szczęśliwi! Jessyko, bądź zdrowa!
 (*Lorenzo i Jessyka wychodzą.*)

Słuchaj, Baltazar: zawsześ był mi wierny,
 Bądź nim i teraz. Weź list ten i zaraz,
 O ile tylko siły twoje starczą,
 Śpiesz się do Padwy, tam oddaj go w ręce
 Mego krewnego, doktora Bellaryo,
 A ubiór, który da ci, i papiery
 Z równym pośpiechem przynieś do przewozu
 Na wielkim trakcie weneckim; śpiesz tylko,
 A wracaj; ja tam przed tobą już będę.

Baltazar. Bądź pewna, pani, że nie stracę czasu.
 (*Wychodzi.*)

Porcya. Śpieszmy, Nerysso. Mam na myśli dzieło,
 O którym pewno nie śniłaś; małżonków
 Ujrzymy prędzej, niż się spodziewają.

Neryssa. A oni będąż nas widzieć?

Porcya. Zapewne,
 Lecz tak przebrane, iż będą mniemali,
 Że mamy wszystko, na czem nam dziś zbywa.
 O zakład, że gdy wdziejemy przebranie,
 Ja będę chłopcem piękniejszym od ciebie,
 Z dzielniejszą gracyą nosić będą sztylet,
 Piskliwym głosem wyrostka rozmawiać,
 Wąziuchne kroki na chód zmieniać męski,
 Prawić o bójkach, jak młodzik chełpliwy,
 Kłamać, jak wielkie kochały mnie damy,
 Jak je w grób moja wypychała oziębłość;
 »Nie moja wina«, dolożę ze skrucha,
 »Byłoby lepiej, gdybym ich nie zabił«.
 Dodam dwadzieścia innych kłamstw wierutnych,
 Tak, że słuchacze zdziwieni powiedzą:
 »Młokos ten ze szkół wymknął się przed rokiem«.
 Mam w głowie mojej tysiąc różnych figlów,
 Które im płatać zamierzam.

Neryssa. Więc w męczyzn
 Zmieni się mamy?

Porcya.

Fe, co za pytanie!

A gdyby jaki słyszał nas rozpustnik?
Lecz idźmy! powóz u bramy nas czeka,
Śród drogi resztę planów ci wyłożę.
Pamiętaj, że nim gwiazdy zaczną świecić,
Dziesięć mil drogi musimy przelecieć.

(*Wychodzą.*)

SCENA V.

Belmont. — Ogród.

(*Lancelot i Jessyka.*)

Lancelot. Bez wątpienia; bo słuchaj, grzechy ojca nawiedzone będą na dzieciach; i dlatego to boję się o ciebie. Byłem zawsze z tobą szczery i w tym więc przedmiocie nie zataję ci prawdy; nie trać przeto serca, bo zdaje mi się, że jesteś potępiona. Jedna tylko pozostaje ci nadzieja ratunku, a i ta nawet jest gatunkiem bękarciej nadziei.

Jessyka. Cóż to za nadzieja, proszę?

Lancelot. Co za nadzieja? Możesz się trochę spodziewać, że cie nie twój ojciec splodził, że nie jesteś córką Żyda.

Jessyka. Byłaby to niezawodnie bękarcia nadzieja; ale wtedy grzechy mojej matki byłyby na mnie nawiedzone.

Lancelot. To prawda. Widzę więc, że jesteś potępiona po kądzieli i po mieczu. Kiedy chcę uciekać od Scylli¹⁾, twój ojca, wpadam w Charybdę, twoją matkę. Na obu drogach przepadał.

Jessyka. Mój mąż mnie zbawi i on mnie zrobił chrześcijanką.

Lancelot. I bardzo źle zrobił. I tak już było dosyć chrześcijan, właśnie ilu się mogło wyżywić ucziwie jedni przy drugich. Ta fabrykacya chrześcijan podniesie cenę wieprzowiny. Jeśli wszyscy zostaniemy wieprzoadami, nie-

¹⁾ Scylla — skała w cieśninie Sycylijskiej, leżąca naprzeciw wiru, zwanego Charybdą; unikając Charybdy, okręty rozbiły się często o Scyllę.

długo człowiek za żadne pieniądze kawalka sperki nie dostanie. (*Wchodzi Lorenzo.*)

Jessyka. Powiem to wszystko mojemu mężowi, który właśnie nadchodzi.

Lorenzo. Zacznę być zazdrosnym, Lancelocie, jeśli tak po kątach będziesz z żoną moją rozmawiał.

Jessyka. Nie masz się czego obawiać, Lorenzo! Lancelot jest w otwartej ze mną wojnie. Powiada mi bez ogródki, że niema dla mnie miłosierdzia w niebie, bo jestem córką Żyda, a ciebie nazywa złym obywatelem rzeczypospolitej, bo, nawracając Żydów, podnosisz cenę wieprzowiny.

Lorenzo. Łatwiej mi z tego będzie usprawiedliwić się przed rzeczpospolitą, niż tobie z uwiedzenia murzynki, która przez ciebie zaszła w ciążę.

Lancelot. Słusznie, aby zyskała w objętości, co straciła w uczciwości; a zresztą od czegoż byłaby murzynką, gdyby nie nosiła ciąży?

Lorenzo. Jak każdy błazen igrać może ze słowami! Zdaje mi się, że niedługo milczenie będzie najlepszą zaletą dowcipu, a mowa tylko w papugach będzie miała wartość. Idź teraz i powiedz sługom, żeby się gotowali do obiadu.

Lancelot. Wszyscy od dawna gotowi, wszyscy mają żołądki.

Lorenzo. Ach, co za koncepcista! Więc powiedz niech przygotują obiad.

Lancelot. Już przygotowany, brak tylko zastawy.

Lorenzo. To zastaw.

Lancelot. Co i u kogo?

Lorenzo. Coraz nieźnośniejszy! Czy chcesz od razu pokazać wszystkie skarby twojego dowcipu? Proszę cię, zrozumiej po prostu proste wyrazy. Idź do twoich towarzyszy, niech stół nakryją, zastawią potrawy, bo chcemy zaraz obiadać.

Lancelot. Stół, panie, będzie zastawiony, potrawy będą nakryte, a co do pańskiego obiadowania, to zależy od humoru i fantazyi. (*Wychodzi.*)

Lorenzo. Co za gaduła bez myśli i sensu!

Błazen ten w swojej zaszczeplił pamięci
Armii konceptów. Znam niemal błaznów,

Na wyższym, niż on, postawionych szczeblu,
 Koncepcikami tak, jak on, wypchanych,
 Co śmiesznem słowem pragną sens zastąpić. —
 Słodka Jessyko! powiedz mi otwarcie,
 Jak ci się żona Bassania podoba?

Jessyka. Brak mi słów na to. Słusznie się należy,
 Aby cnotliwe Bassanio wiódł życie,
 Bo w żonie mając błogosławieństw tyle,
 Rozkosze nieba znalazł już na ziemi;
 Jeśli na ziemi ceny ich nie pozna,
 Nie wart jest, żeby i w niebie je znalazł.
 Gdyby dwa bóstwa o zakład niebieski
 Dwie postawiły ziemi tej niewiasty,
 A Poreya jedną z nich była, do drugiej
 Skarb jeszcze jaki dodaćby musiały:
 Świat biedny drugiej Poreyi nie posiada.

Lorenzo. Czem wśród żon Poreya, tem ja pośród mężów.

Jessyka. O, co do tego, pytaj mnie o zdanie.

Lorenzo. Tylko nie teraz, idźmy przód na obiad.

Jessyka. Słuchaj twych pochwał, póki masz apetyt.

Lorenzo. Nie, nie, zachowaj to aż do obiadu,
 Żebym mógł strawić razem z potrawami
 Wszystko, co powiesz.

Jessyka. Usłyszysz nowiny.
 (*Wychodzą*),

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Wenecya. — Trybunał.

(*Doża, Senatorowie, Antonio, Bassanio, Gracyano, Solanio,
 Salarino i inni.*)

Doża. Gdzie jest Antonio?

Antonio. Czeka na rozkazy.

Doża. Z boleścią widzę, że masz odpowiedzieć

Na kamiennego przeciwnika skargi,
 W którego nędznem sercu nadaremnie
 Szukałbyś kropli ludzkiego uczucia.

Antonio. Książę, wiem dobrze, ileś zażył trudów,
 By żądań jego surowość złagodzić;
 Ale gdy w chęciach swoich trwa upornie,
 Skoro prawnymi nie mogę środkami
 Wyrwać się z szponów jego nienawiści,
 Niechaj cierpliwość tarczęją moją będzie.
 Jestem gotowy spokojnym umysłem
 Wytrzymać jego wściekłości męczarnie.

Doża. Niech Żyd się teraz przed trybunał stawi.

Solanio. Żyd czeka przy drzwiach na sędziów rozkazy.
 (*Wchodzi Szajlok*).

Doża. Zróbcie mu miejsce. Przybliź się, Szajloku!
 To jest i świata i moje mniemanie,
 Że choć się srożysz do ostatniej chwili,
 Wkońcu pokażesz większe miłosierdzie,
 Niż jest pozorne twoje okrucieństwo;
 Że chociaż teraz, wedle słów obligu,
 Chcesz z ciała jego funt mięsa wykroić,
 Nie tylko prawa twojego się zrzeczesz,
 Lecz, uczuć ludzkich duchem przenikniony,
 Odstąpisz jednej części kapitału,
 Litosnem okiem rzucając na straty,
 Które na jego zwały się barki,
 Pożarły mienie królewskiego kupca,
 Zbudziły litość nad jego niedolą
 W żelaznych piersiach i kamiennych sercach
 Synów Tartaryi, niećwiczonych nigdy
 W szlacheckiej szkole uczuć delikatnych.
 Czekamy na twą litosną odpowiedź.

Szajlok. Książę, wiadome ci są me zamiary.

Ja na nasz święty szabas poprzysięgłem,
 Że mieć to muszę, co mi oblig daje.
 Odmowa twoja groźbą razem będzie
 I prawom waszym i waszej wolności.
 Jeśli mnie spytasz, dlaczego przynoszę

Funt zlego ścierwa nad moje pieniądze?
Choć odpowiedzieć nie mam obowiązku,
Lecz cóż, gdy powiem: to me przywidzenie;
Odpowiedź taka nie będzie wam dosyć?
Czyliż, gdy w domu moim szczur plądruje,
Dać mi nie wolno, jeśli mam ochotę,
Dziesięć tysięcy dukatów za trutkę?
I ta odpowiedź jeszcze wam nie dosyć?
Jedni znieść kota widoku nie mogą,
Kwiczącej świni ci nie mogą słuchać,
Inni, gdy kobza zaskrzypi im w uszach,
Daremnie pragną zatrzymać urynę,
Bo antypaty i sympaty władza
Po swojej woli myśli ich nastraja.
I ja też powiem w mojej odpowiedzi:
Jak ty nie możesz dobrej dać przyczyny,
Dlaczego jeden znieść nie może kota,
Kwiczącej świni ten nie może słuchać,
A tamten kobzy, by się pomścić nie chciał
Na mimowolnej słabości przyczynie,
Tak ja nie mogę dać wam i dać nie chcę
Innej przyczyny mojego uporu,
Jak zastarzałą moją doń nienawiść.
Odpowiedź moja jestże dostateczna?

Bassanio. Taka odpowiedź, kamienny człowieku,
Dzikich popędów nie usprawiedliwia.

Szajlok. Nic mnie nie zmusza, abym w odpowiedziach
Pragnął na twoją zasłużyć pochwałę.

Bassanio. Mamyż zabijać, czego nie kochamy?

Szajlok. Któż nie chce zabić, czego nienawidzi?

Bassanio. Pierwsza uraza maź rodzić nienawiść?

Szajlok. Chcesz więc, by dwakroć ten sam wąż cię ukłuł?

Antonio. Nie zapominaj, że spierasz się z Żydem;
Że równie łatwo mógłbyś nad wybrzeżem
Rozkazać fali rosnącej ustąpić,
Że z równym skutkiem mógłbyś wilka pytać,
Dlaczego jagnię od owcy wydziera,
Równiebyś łatwo leśnym kazał sosnom,

Aby bez szumu kolysały czoła,
Gdy je niebieskie trącają oddechy;
Łatwiejbyś spełnił najtrudniejsze dzieło,
Niż tego Żyda twarde zmiękczył serce.
Więc cię zaklinam, przestań próżno błagać,
I dozwól, proszę, ażeby bez zwłoki
Sąd wydał wyrok, a Żyd dostał swoje.

Bassanio. Za trzy tysiące daję sześć, Szajloku.

Szajlok. Z sześciu tysięcy gdyby każdy dukat
Na sześć się nowych dukatów rozdzielił,
Jeszczebym moich praw ci nie odstąpił.

Doża. Jeśli dla bliźnich miłosierdzia nie masz,
Jak możesz liczyć sam na miłosierdzie?

Szajlok. Żyjąc uczciwie, czego mam się lękać?
Wszak macie u was kupnych niewolników,
Których, jak osłów, jak psów, lub jak koni,
Do niewolniczych posług używacie,
Bo to wasz pieniądz. Mamże wam powiedzieć:
Dziedziczki wasze dajcie im za żony;
Wróćcie im wolność; niech pościel ich będzie
Miękka, jak wasza; niech ich podniebieniu
Równie wykwintne pochlebiają dania.
Wy odpowiecie: to własność jest nasza.
To samo teraz i ja odpowiadam.

Mięso, o które przed wami się spieram,
Drogo kupilem, moją jest własnością.
Jeżeli przegram, hańba prawom waszym!
Wyroki wasze czczą są gadaniną.
Wymagam sądu: czyliż mi go dacie?

Doża. Mocą praw moich odraczam trybunał,
Dopóki doktor uczony, Bellaryo,
Którego zdania w sprawie tej zasięgam,
Nie będzie z nami.

Salarino. Książę, właśnie z Padwy
Przybył posłaniec z listami doktora.

Doża. Przynieś mi listy, zawołaj posłańca.

Bassanio. Drogi Antonio, dobrej bądź otuchy;

Przód Żyd zabierze mą krew, mięso, kości,
Zanim ty dla mnie krwi kropelkę stracisz.

Antonio. Jam jest śród trzody zarażoną owcą,
Na śmierć skazaną; jak najslabszy owoc
Najpierwszy spada, tak ja niechaj spadnę.
A ty nie możesz nic lepszego zrobić,
Jak żyć i dla mnie nagrobek napisać.

(Wchodzi Neryssa w ubiorze dependenta¹⁾.)

Doża. Czy od Bellarya, czy z Padwy przybywasz?

Neryssa. Książę, Bellarya niosę pozdrowienie.

(Oddaje list.)

Bassanio. Dlaczego nóż twój tak żarliwie ostrzysz?

Szajlok. By dług wykroić na bankruta ciele.

Gracyano. Nie na rzemieniu, ale na sumieniu

Nóż ten zaostrzasz; ale żaden metal,

Nie, żaden, nawet katowska siekiera

Połowy ostrza złości twojej nie ma.

Żadna więc prośba wzruszyć cię nie zdoła?

Szajlok. Żadna, przynajmniej, którą ty zanosisz.

Gracyano. Bądźże przeklęty, psie nieubłagany!

Twe życie sądów wieczną jest satyrą!

Prawie zachwiałeś moją silną wiarę,

Przyjąć mnie zmuszasz Pitagora²⁾ zdanie,

Że się zwierzęce przelewają dusze

W człowieka ciało; że psia twoja dusza

W wilku mieszkała, gdy go powieszono,

Wpłynęła w ciebie prosto z szubienicy,

Gdyś jeszcze w matki przeklętem był łonie,

Bo wszystkie twoje skłonności i żądze

Są wilcze, krwawe, głodne i żarłoczne.

Szajlok. Póki szyderstwem nie zniszczysz obliwu,

Daremnie krzykiem płuca twoje męczysz,

Radzę ci z serca, dowcip twój polataj,

Bo jest dziurawy. Domagam się sądu.

¹⁾ Dependent — pisarz lub praktykant adwokacki.

²⁾ Pitagor (Phytagoras) z Samos, ur. około 582 r. przed Chr., filozof grecki, twórca nauki o metempsychozie czyli wędrówce dusz poprzez ciała zwierzęce i ludzkie celem osiągnięcia coraz wyższej doskonałości.

Doża. Bellaryo listem poleca doktora
Młodego, ale pełnego nauki.
Gdzie jest ten doktor?

Neryssa. Czeka niedaleko
Na twą odpowiedź i twoje rozkazy.

Doża. Niech się więc śpieszy. Z pomiędzy was kilku
Niech go uprzejmie wprowadzi do sali.
Tymczasem listu słuchajmy Bellarya.

Sekretarz *(czyta)*. Książę, w dzień odebrania waszego listu złożony byłem ciężką chorobą. Ale razem z waszym posłańcem przybył do mnie z Rzymu w odwiedzinę młody doktor, nazwiskiem Baltazar. Opowiedziałem mu całą sprawę Żyda i kupca Antonia. Przerzucił mi ksiąg niemało; Baltazar wie moje zdanie, a dopełniając je własną nauką, której głębokości dostatecznie zalecić nie jestem w stanie, śpieszy w mojem zastępstwie, aby żądaniu waszemu zadosyć uczynić. Proszę was, niech brak lat nie naraża go na brak waszego szacunku, bo nigdy jeszcze widzieć mi się nie zdarzyło z tak młodem ciałem tak starej głowy. Polecam go więc waszej uprzejmości, przekonany, że próba będzie dla niego lepszą, niż moje słowa, rekomendacya.

Doża. Tak pisze do nas uczony Bellaryo.

Właśnie i młody doktor nasz przychodzi.

(Wchodzi Porcyo w ubiorze doktora prawa.)

Daj rękę. Stary przysłał cię Bellaryo?

Porcyo. Tak jest.

Doża. Więc witaj! Siądź przy moim boku.

Znaszli treść sprawy, która tu się toczy,
W której dziś wyrok trybunał ma wydać?

Porcyo. Wszystkie szczegóły znane mi dokładnie.

Teraz gdzie Żyd jest? gdzie kupiec Antonio?

Doża. Antonio, Szajlok, przybliżcie się oba.

Porcyo. Imię twe Szajlok?

Szajlok. Szajlok imię moje.

Porcyo. Dziwnej natury proces wytoczyłś.

Lecz w takiej formie, że weneckie prawa

Oprzeć się twoim nie mogą żądaniom.

(Do Antonia).

Tobie zagraża to niebezpieczeństwo?

Antonio. Tak jest, mnie, panie!

Porcya. Czy uznajesz oblię?

Antonio. Uznaję.

Porcya. Żydzie, bądź więc miłosierny.

Szajlok. A czemu, proszę, mam być miłosierny?

Porcya. Dla miłosierdzia nikt przymusu nie ma;

Ono, jak kropla niebieskiego deszczu,
Splywa na ziemię, dwakroć błogosławi
Tego, co daje, i tego, co bierze.
Ono z potężnych jest najpotężniejsze;
Przystoi królom lepiej, niż korona.
Berło ich świadczy doczesną potęgę,
Obudza w sercach bojaźń majestatu
I groźne myśli o królów potędze;
Lecz miłosierdzie od władzy tej wyższe,
W królewskich sercach jego panowanie;
Ono jest Boga samego przymiotem:
Najpodobniejszy jest Bogu król ziemski,
Gdy sprawiedliwość słodzi miłosierdziem.
Dlatego, Żydzie, choć prawo za tobą,
Pomnij, że nikt z nas zbawienia nie znajdzie
W sprawiedliwości sędzie nieugiętym.
W modlitwach Boga o litość blagamy;
Czyż ta modlitwa nie uczy nas razem,
Żeśmy bliźniemu winni miłosierdzie?
Mówię tak długo, aby cię przebłagać,
Bo jeśli zechcesz uprzeć się przy prawie,
Trybunał musi Antonia potępić.

Szajlok. Zdam w swoim czasie liczbę z moich czynów;
Teraz chcę sądu wedle słów oblię.

Porcya. Czy nie jest w stanie uiścić się z długu?

Bassanio. I owszem. Ja mu w przytomności sądu
Daję podwójną sumę; gdy to mało,
Dziesięćkroć więcej zapłacić przyrzekam
Pod rękę, serca, pod głowy utratą.
Jeśli mu na tem nie dosyć, to widać,

Że nad uczciwym złość dziś tryumfuje.
Powagą twoją złam prawo, wykonaj
Z niewielką krzywdą wielką sprawiedliwość,
I ugnij dyabła okrutnego wołę.

Porcya. Nie mogę. Niema w Wenecyi potęgi,
Mogącej łamać stanowione prawo.
Sąd taki byłby złym tylko przykładem,
Za którym liczna gromada nadużył
W prawaby nasze wkradła się. Nie mogę.

Szajlok. Daniel, o Daniel przyszedł nas rozsądzić!
O, mądry sędzio, jakże cię uwielbiam!

Porcya. Pozwól mi, proszę, oblię ten odczytać.

Szajlok. Oto jest, zacny, przewielebny sędzio!

Porcya. Trzykroć ci większą ofiaruje sumę.

Szajlok. Przysięga moja w niebie zapisana;
Krzywoprzysięstwem mamże się obciążyć?
Tego nie zrobię za Wenecyę całą.

Porcya. Oblię jest jasny; niewątpliwe prawo
Żydowi służy funt mięsa wykroić
Z Antonia piersi, z pod samego serca.
Ale, Szajloku, pokaż miłosierdzie,
Weź, co ci dają; dozwól oblię podrzeć.

Szajlok. Jak go zapłaci wedle jego treści.
Widzę, że jesteś dostojnym doktorem.
Prawo znasz dobrze, jasno je wykladasz.
A więc cię teraz wzywam w imię prawa,
Którego jesteś potężnym filarem,
Przystap do sądu. Na duszę przysięgam,
Niema języka zdolnego mnie zachwiać
W moich zamiarach, a przy mnie jest prawo.

Antonio. I ja z mej strony błagam was, sędziowie,
Wydajcie wyrok.

Porcya. Wyrok tej jest treści:

Do noża jego pierś przygotuj swoją.

Szajlok. Szlachetny sędzio! wybory młodzieńcze!

Porcya. Bo i duch prawa i jego litera
Upoważniają wykonanie kary,
Którą twój oblię wyraźnie zastrzega.

Szajlok. To wielka prawda. O, przemądry sędzio!

Jakże twój rozum lata twe prześciga!

Porcyca. Odsłoń więc piersi.

Szajlok. Tak jest, odsłoń piersi:

Tak mówi oblig; czy nie, zacny sędzio?

»Najbliżej serca«; to są własne słowa.

Porcyca. Czyli masz wagi, by mięso odważyć?

Szajlok. Mam je gotowe.

Porcyca. Zarazem, Szajloku,

Miej w pogotowiu dobrego chirurga,

By go krwi uście o śmierć nie przywiodło.

Szajlok. Czyś i to także w obligu wyczytał?

Porcyca. Choć oblig żadnej nie ma o tem wzmianki,

Zrób to przez proste ludzkości uczucie.

Szajlok. Warunku tego darmo w piśmie szukam.

Porcyca. A ty, Antonio, czy masz co powiedzieć?

Antonio. Tylko słów kilka. Umrzeć jestem gotów.

Bądź zdrow, Bassanio! daj mi twoją rękę;

Niech dola moja lez ci nie wyciska.

Uznaj w tem wszystkim fortuny przychylność

Większą, niż zwykle. Kiedy bowiem innych

Przymusza bogactw swych przeżyć ruinę,

Z zapadłem okiem, pomarszczonem czołem

Patrząc na nędzę samotnej starości,

Mnie, naraz, z długich wyzwala męczarni.

Poleć mnie pięknej żony twej pamięci,

Powiedz jej koniec procesu Antonia,

Mów, jak cię kochał, powiedz, jak umierał,

A potem żądaj, niech rozsądzi sama,

Czyli Bassanio przyjacieli nie miał.

Nie żałuj, proszę, że stracić mnie musisz;

Ja, dług twój placąc, życia nie żałuję.

Byleby Żyd ten pchnął nóż dość głęboko,

Dług mój, bez trwogi, chętnem placę sercem.

Bassanio. Wiesz, mój Antonio, że pojąłem żonę,

Która mi droższa, niżli moje życie;

Lecz życie, żona, ale świat ten cały

Mniej mi są drogie od twego żywota,

I chciałbym wszystko utracić, poświęcić

Temu tu dyabłu, byle cię ocalić.

Porcyca. Gdyby twa żona słyszała ofiarę,

Nie wiem, jak bardzo byłaby ci wdzięczną.

Gracyano. I ja mam żonę, którą z duszy kocham,

Lecz chciałbym, żeby w niebie teraz była,

Błagała Boga, by psa tego zmiękczył.

Neryssa. Dobrze, że robisz ofiarę za oczy,

Boby inaczej wojna była w domu.

Szajlok (*na str.*). To chrześcijańscy męże. Ja mam córkę,

Wolałbym, żeby z rodu Barabasz¹⁾

Dostała męża, niż chrześcijanina.

(*Głośno.*)

Lecz czas tracimy na próżno. Do rzeczy!

Porcyca. Funt jego mięsa własnością jest twoją;

Tak prawo mówi, a stwierdza trybunał.

Szajlok. O wielki sędzio!

Porcyca. Wykroisz je z piersi;

Tak prawo mówi, a stwierdza trybunał.

Szajlok. O sędzio mądry! uczony! Do dzieła!

Porcyca. Poczekaj chwilę — jedno jeszcze słowo.

Oblig nie daje ci krwi ani kropli;

Funt jeden mięsa, powiada wyraźnie.

Weźże, co twoje; weź jeden funt mięsa;

Lecz, biorąc mięso, jeżeli rozlejesz

Krwi chrześcijańskiej choć jedną kropelkę,

Wszystkie twe dobra prawo konfiskuje

Na rzecz Wenecyi.

Gracyano. Uczony sędzia! Szajlok, co za sędzia!

Szajlok. Czy to jest prawo?

Porcyca. Pokażę artykuł.

Sprawiedliwości domagasz się ciągle,

Dam ci jej więcej, niżeli sam żądasz.

Gracyano. Uczony sędzia! he, czy nie uczony?

¹⁾ Barabasz, zbrodniarz, którego Pilat Poncki musiał uwolnić zamiast Chrystusa, stosując się do woli ludu Jerozolimy, podburzonego przez kapłanów.

Szajlok. Więc wole, niech mi potrójnie zapłaci
I z Bogiem idzie.

Bassanio. Oto są pieniądze.

Porcya. Nie; sprawiedliwość musimy mu wymierzyć;
Chciał jego mięsa, niechże mięso weźmie.

Gracyano. O wielki sędzia! Żydzie, mądry sędzia!

Porcya. Dlatego śpiesz się zabrać twoje mięso,
Lecz strzeż się rozlać krwi, albo odkroić
Mniej albo więcej jak jeden funt mięsa;
Bo jeśli weźmiesz, albo mniej lub więcej,
Choćby o setną tylko cząstkę grama,
Ba, choćby tylko i o włosa wagę,
Czekają na cię: śmierć i konfiskata.

Gracyano. O, drugi Daniel! Żydzie, drugi Daniel!
Teraz, niewierny, złapałem cię w szpony.

Porcya. Czemu się wahasz, Szajloku? do dzieła!

Szajlok. Zwróć mi kapitał, a kwituję z reszty.

Bassanio. Czekam od dawna z sumą odliczoną.

Porcya. Nie chciał jej przyjąć w przytomności sądu,
Sprawiedliwością niech się teraz cieszy.

Gracyano. O Daniel, Daniel, Żydzie, drugi Daniel!
Dzięki ci za to, żeś to imię znalazł!

Szajlok. Nie mogę dostać choćby kapitału?

Porcya. Dostaniesz tylko, co oblig waruje,
A biada tobie, jeśli weźmiesz więcej!

Szajlok. A więc niech dyabeł zapłaci mu za mnie!
Ja się wyrzekam praw moich.

Porcya. Poczekaj!
Jeszcze wszystkiego nie skończyłeś z prawem.
W weneckich prawach stoi zapisane,
Iż cudzoziemiec każdy, przekonany,
Że lub pośrednio, albo bezpośrednio
Godził na życie Wenecyi mieszkańca,
Dóbr swych połowę na rzecz jego traci,
Drugą połowę skarb publiczny bierze,
A w końcu życiem samem winowajcy
Doża dowolnie może rozporządzić.
Dziś ten artykuł potępią cię, Żydzie,

Bo z procedury całej się wykrywa,
Że tak pośrednio jak i bezpośrednio
Grozileś życiu obżałowanego;
Dlatego wyżej przytoczona kara
Dotrąca cię i twe posiadłości.
O miłosierdzie błagaj u stóp doży.

Gracyano. Błagaj, niech ci się powiesić dozwolii.
Ale gdys cały utracił majątek,
Gdy nie masz grosza na kupno postronka,
A więc publicznym kosztem będziesz wisiał.

Doża. Byś uczuć naszych sam poznał różnicę,
Wprzód, niżli błagasz, daruję ci życie.
Twych dóbr połowę zabiera Antonio,
Ale część tego, co do skarbu wpływa,
Jeszcze pokorą możesz uratować.

Porcya. Z Antonia części nie odjąć nie wolno.

Szajlok. Nie, zabierz życie; nie błagam o życie;
Dom mój zabierasz, zabierając słupy,
Co go wspierają; wydzierasz mi życie,
Gdy mi z rąk bierzesz wszystko to, czem żyję.

Porcya (do Antonia). A ty, czem twoją pokażesz mu litosć?

Gracyano. Daj mu postronek gratis, lecz nie więcej.

Antonio. Niech wyrok sądu, miłosierdzie doży,
Wróćą Żydowi połowę majątku.
Drugą połowę, aż do jego śmierci,
Na zwykły procent zatrzymam u siebie,
A potem wszystko temu wiernie splecę,
Który niedawno córkę jego wykradł.
Dwa jednak inne dołożę warunki:
Za tyle łaski chrzest przyjmie natychmiast,
I w trybunale urzędownie stwierdzi
Donację¹⁾ wszystkich swoich posiadłości
Córce i swemu synowi Lorenzo.

Doża. Jeśli warunków obu nie dopełni,
Ja odwołuję słowo przebaczenia.

Porcya. Żydzie, czy na to przystajesz?

¹⁾ Donacya — nadanie, darowizna.

Szajlok. Przystają.
Porcya. Więc, sekretarzu, akt wygotuj śpiesznie.

Szajlok. Pozwólcie teraz, żebym się oddalił,
Bo mi jest słabo. Akt przyślijcie za mną,
Podpiszę w domu.

Doża. Możesz się oddalić.

Gracyano. Dwóch chrzestnych ojców do chrztu cię powiedzie;
Gdybym był sędzią, dodałbym dziesięciu ¹⁾,
Żeby powiedli cię na szubienicę.

(*Wychodzi Szajlok*),

Doża (*do Porcya*). Racz dzisiaj przyjąć obiad w moim domu.

Porcya. Z żalem nie mogę przyjąć zaproszenia,
Bo mnie do Padwy obowiązek woła;
Wenecję muszę bez zwłoki opuścić.

Doża. Boleje, że tak nagle nas opuszczasz.

(*Do Antonia*).

Pokaż się wdzięcznym temu doktorowi,
Bo wielkiej ceny oddał ci usługę.

(*Wychodzą: Doża, Senatorowie i służba*).

Bassanio. Drogi doktorze, ja i mój przyjaciel
Przez mądrość twoją uszliśmy szczęśliwie
Okrutnej kary: za twoje zabiegi
Zechniej, uprzejmie z naszej przyjąć ręki
Te trzy tysiące dukatów Szajloka.

Antonio. A oprócz tego, na zawsze bądź pewny
Naszej wdzięczności i miłości naszej.

Porcya. Sumienie nasze najlepiej nas płaci.
Szczęśliwy, że was mogłem uratować,
W mojem sumieniu jestem zapłacony.
Moją nauką nigdy nie frymarczył ²⁾.
Przyjaźń mi waszą zachowajcie, proszę,
A teraz bądźcie zdrowi i szczęśliwi!

Bassanio. Kochany sędzio, jedno jeszcze słowo.
Przyjmij co od nas, już nie jak zapłatę,

¹⁾ Ben Jonson w jednej ze swoich komedji nazywa dwunastu przy-
sięgłych w sprawach kryminalnych chrzestnymi ojcami wedle prawa

²⁾ Frymarczyć — kupeżyć, handlować.

Lecz jak pamiątkę. Dozwól mi dwie laski:
Śmiałość mi przebac, daru nie odmawiaj.

Porcya. Trudno odmówić tylu naleganom.
Dla twej miłości przyjmę na pamiątkę
Twe rękawiczki i pierścień ten z palca.
Nie cofaj ręki, na tem poprzestane,
A ty zapewne nie zechcesz odmówić.

Bassanio. Ten pierścień, sędzio, zbyt malej jest wagi,
I wstyd mnie taką dawać ci drobnostkę.

Porcya. Ja znowu nie chcę nic innego przyjąć,
A szczerze pragnę dostać, o co proszę.

Bassanio. Ten pierścień droższy dla mnie nad swą cenę.
Najdroższy brylant, który w całym mieście
Przez obwieszczenia znaleźć mi się uda,
Dam ci w podarku, ten zostaw mi tylko.

Porcya. Szczodry, jak widzę, jesteś w obietnicach.
Tyś mnie nauczył żebrać, teraz uczysz,
Jak żebrakowi trzeba odpowiadać.

Bassanio. Sluchaj, ten pierścień dostałem od żony,
Której przysiągłem, kładąc go na palec,
Że go nie sprzedam, nie dam, ani stracę.

Porcya. Dobra wymówka, aby dar zatrzymać.
Jeśli twa żona przy zdrowych jest zmysłach,
Wie, za co pierścień dostałem w nagrodę,
Niedługo w sercu zachowa urazę.
Lecz dosyć na tem; bywajcie mi zdrowi!

(*Wychodzą Porcya i Neryssa*).

Antonio. Dobry Bassanio, daj mu ten pierścionek.
Niech miłość moja i jego zasługi,
Ten raz, rozkazy żony twej przeważą.

Bassanio. Śpiesz się, Gracyano! ponieś mu pierścionek,
A jeśli możesz, przyprowadź go z sobą,
W Antonia domu będziemy czekali.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Wenecya. — Ulica.

(*Wchodzą Porcyą i Neryssa*).

Porcyą. Wyszukaj Żyda; niechaj akt podpisze,
A wracaj śpiesznie. Wyjeżdżamy w nocy,
I powrót mężów dniem wyprzedzim całym.
Miły gościnniec niesiem dla Lorenca.

(*Wchodzi Gracyano*).

Gracyano. Piękny doktorze, szczęście, żem cię znalazł.
Pan mój, Bassanio, po lepszym namyśle,
Daje ci pierścień i na obiad prosi.

Porcyą. Pierścień z wdzięcznością przyjmuję, obiadu
Przyjąć nie mogę; przepros go ode mnie.
Proszę cię także, pokaż, jeśli możesz,
Sekretarzowi memu dom Szajloka.

Gracyano. Chętnie.

Neryssa (*do Porcyi*). Wprzód z panem chwilę chcę pomówić.
Spróbuję pierścień wyludzić od męża,
Który na palcu wiecznie nosić przysiągł.

Porcyą. Dostaniesz, ręczę. Będą po staremu
Kląć się, że dali mężczyznom pierścionki,
Lecz my bezczelność splacim bezczelnością,
A klęciem klęcie. Wiesz, gdzie się zejść mamy.

Neryssa. Prowadź mnie teraz do Szajloka domu.

(*Wychodzą*).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Belmont. — Aleja, prowadząca do domu Porcyi.

(*Lorenzo i Jessyka*).

Lorenzo. Jak jasny księżyc! W takiej, jak ta, nocy,
Kiedy wiatr słodki drzew całował szczyty,
One całunków nie zdradzały szumem,

Troilus ¹⁾ stapał po trojańskich murach,
I słał westchnienia ku greckim obozom
Do swej Kressydy.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Tysbe ²⁾, z traw rosę lekliwie strząsając
Lwa groźnym cieniem nagle przerażona,
Z trwożą pierzchnęła.

Lorenzo. W takiej, jak ta, nocy
Dydona ³⁾, w rękę z gałązką wierzbową,
Na pustym brzegu, wzywała kochanka,
Ażeby wrócił.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Medea ⁴⁾ ziola czarowne zbierała,
Którymi ciału starego Ezona
Wróciła młodość.

Lorenzo. W takiej, jak ta, nocy
Dom opuściła ojcowski Jessyka,
I biegła z swoim rozrzutnym kochankiem
W Belmont się schronić.

Jessyka. W takiej, jak ta, nocy
Młody Lorenzo miłość jej przysięgał,
Wykradł jej duszę tysiącami przysięg,
Przysięg fałszywych.

Lorenzo. W takiej, jak ta, nocy
Piękna Jessyka, malutka złośnica,
Kochanka swego ciężko spotwarzyła;
On jej przebaczył.

Jessyka. Przenocowałabym

¹⁾ Troilus, syn Pryama, króla Troi. Kressyda, córka kapłana greckiego Kalchasa.

²⁾ Według opowieści Owidyusza, porzucouy przez Tysbę w ucieczce płaszczył został poszarpany przez rozgniewane zwierzę. Kochanek jej, Pyram, dostrzegłszy na miejscu schadzki szczątki płaszcza dziewczyny i wnioskuje stąd o jej śmierci, przebił się z rozpacz. Tysbe, znalazłszy zinnne zwłoki Pyrama, poszła za jego przykładem.

³⁾ Dydona, bajeczna założycielka Kartaginy, gdzie gościła Eneasza.

⁴⁾ Medea, córka króla Kolchidy, a żona Jazona, wodza Argonautów, czarodziejskim sposobem wróciła młodość Ezonowi, ojcu Jazona.

Wszystkie twe noce, ale ktoś nadchodzi.

(Wchodzi Stefano).

Lorenzo. Któż się tak śpieszy wśród milczenia nocy?

Stefano. Swój, wasz przyjaciel.

Lorenzo. Imię, przyjacielu.

Stefano. Jestem Stefano, przynoszę wiadomość,
Że pani moja, jeszcze przed świtaniem,
Do Belmont wróci. Teraz, u stóp krzyża,
Kłęczy w pokorze i zanosi modły
O dnie szczęśliwe swojego zameżcia.

Lorenzo. Kto z nią przybywa?

Stefano. Nikt, oprócz Neryssy
I pustelnika. Czy pan już powrócił?

Lorenzo. Nie, dotąd żadnej o nim wiadomości.
Teraz, Jessyko, wracajmy do domu,
Pomyślmy, jakby piękną panią naszą
W chwili powrotu witać uroczycie.

(Wchodzi Lancelot).

Lancelot. Hola ho! hola ho! hola ho!

Lorenzo. Kto tam wola?

Lancelot. Hola ho! Czy nie widziałeś przypadkiem pana
Lorenzo i pani Lorenzo? Hola ho!

Lorenzo. Przestań wrzeszczeć, człowieku, tu jestem.

Lancelot. Hola ho! a gdzie?

Lorenzo. Tu.

Lancelot. Więc mu powiedz, że przyszła poczta od mojego pana
z pełnym rogiem dobrych nowin. Pan mój wraca przed
świtaniem. *(Wychodzi).*

Lorenzo. Idźmy, o droga, w domu na nich czekać.
Ale nie, po co w murach się zamykać?
Dobry Stefano, zapowiedz służącym,
Że lada chwila pani się pokaże.
Każ wyjść kapeli na wolne powietrze.

(Wychodzi Stefano).

Jak słodko drzemie świstło na pagórku!
Tu śiądźmy, tutaj niech muzyki fale
W uszy nam płyną; nocy miękka cichość
Słodkiej harmonii przystoi najlepiej.

Usiądź, Jessyko; spojrzuj, jak sklep nieba
Jasno wybity złotemi gwiazdami;
Najmniejsza kula wśród gwiazd tych tysięcy
W biegu swym śpiewa, jak anioł niebieski,
Wtórując chórom młodych Cherubinów.
Taka harmonia w nieśmiertelnych duszach:
Ale dopóki w tem błocie znikomem
Duch nasz zamknięty, nie możemy jej słyszeć.

(Wchodzi muzyka).

Zacznijcie, hymnem rozbudźcie Dyana,
Najsłodsze tony ślicze w pani uszy,
Niech ją muzyka przyciągnie do domu.

(Muzyka).

Jessyka. Słodka muzyka wesele mi kradnie.

Lorenzo. Bo twoje myśli pod władzę swą bierze.
Rzuć tylko oczy na rozpustne stado
Nieujeżdżonych, dzikich, młodych żrebiąt,
Jak rżą, jak skaczą po łąkach szalone,
Posłuszne tylko krwi gorącej w żyłach;
Lecz niech przypadkiem usłyszą głos trąby,
Lub jakkolwiek dźwięk uszami schwyca,
Ujrzysz, jak całe wstrzymuje się stado,
Z dzikiej żrenicy łagodność wygląda,
Słodkiej muzyki zbudzona potęgą.
Stąd to poeci mówią, że Orfeusz ¹⁾
Ciągnął za sobą lasy, wody, skały,
Bo niema duszy tak wścieklej, tak twardej,
By jej na chwilę nie zmiękczyły pieśni.
Człowiek, co nie ma w swych piersiach muzyki,
Którego rzewne nie wzruszają tony,
Do zrad, podstępów, grabieży jest skłonny,
Duch jego ciężki, jak ciemności nocne,
A myśli jego tak, jak Ereb ²⁾, czarne.

¹⁾ Orfeusz, mityczny śpiewak grecki, którego głos czarował nawet zwierzęta, drzewa i skały.

²⁾ Ereb — kraina ciemności, leżąca, według Greków, między powierzchnią ziemi a światem podziemnym (Hadesem).

Takiemu nigdy nie ufaj. Słuchajmy!

(Porcyia i Neryssa pokazują się w odległości).

Porcyia. To światło w mojem goreje przedsienu.

Uboga lampa jak daleko błyszczy!

Pośród złych ludzi tak czyn dobry świeci.

Neryssa. Gdy księżyc jaśniał, nie znać było lampy.

Porcyia. Tak większa chwała mniejszą chwałę gasi.

Namiestnik króla króla blaskiem świeci,

Nim król przybędzie; wtedy jego światłość

Znika, jak strugi wędrujące fale

Wśród oceanu. Lecz słuchaj, muzyka!

Neryssa. To zwykła domu twojego kapela.

Porcyia. Wszystko, jak widzę, względnie tylko dobre.

Muzyka w nocy słodsza mi się zdaje.

Neryssa. Bo głucha cichość wdzięku jej przyczynia.

Porcyia. Dla obojętnych, roztargnionych uszu

Wrona tak słodko, jak skowronek śpiewa,

I słowik nawet, gdyby we dnie nucił,

Wśród gęsi gęgu, może od królika

Lepszym nie wydałby się muzykantem.

Rzecz każda, tylko gdy w porę się jawi,

Doskonałości otrzymuje palmę.

Cichość! Jak księżyc śpi z Endymionem ¹⁾,

I nie chce, żeby zbudziła go wrzawa.

(Ustaje muzyka).

Lorenzo. Głos to jest Porcyi, albo słuch mnie zwodzi.

Porcyia. Poznał mnie, widzę, jak ślepy kukulkę —

Po szpetnym głosie.

Lorenzo. O, witaj nam, pani!

Porcyia. Za mężów zdrowie błagałyśmy Boga,

Może te modły powrót ich przyspieszą.

Czy już wrócili?

Lorenzo. Nie wrócili jeszcze,

Lecz ich posłaniec przed chwilą oznajmił,

Że są już blisko.

¹⁾ Endymion — ulubieniec Dyany, bogini księżycy, która go porządziła w stan nieprzerwanego snu.

Porcyia. Śpiesz się więc, Nerysso,

Nakaż służącym, niech nie robią wzmianki,

Żeśmy na chwilę dom ten opuścili;

A i wam także milczenie zalecam.

(Słychać odgłos trąbki).

Lorenzo. To mąż twój, pani. Słyszę jego trąbkę,

O nas się nie bój, nie mruknijemy słowa.

Porcyia. Noc ta się zdaje tylko dniem w chorobie,

Bledszym z cierpienia; dzień tak się wydaje,

Kiedy się słońce utuli za chmury.

(Wchodzi: Antonio, Bassanio, Gracyano i ich służba).

Bassanio. Z antypodami dzieńbyśmy nasz mieli,

Gdybyś za słońce wschodzić tylko chciała.

Porcyia. Niech będę słońcem, lecz tylko dla ciebie:

Żona, co wszystkim zarówno chce świecić,

Nad mężem tylko noc zawiesi czarną.

Lecz niech się wszystko z bożą dzieje wolą!

Witaj, o mężu, witaj w twoim domu!

Bassanio. Dzięki ci. Witaj mego przyjaciela;

To jest Antonio, drogi mój Antonio,

Któremu tyłem jest obowiązany.

Porcyia. O, bardzo wiele! bo on, jak słyszałam,

Ciężkie za ciebie wziął zobowiązanie.

Antonio. Już mi za wszystko sownie zapłacił.

Porcyia. Jak są nam mile twoje odwiedziny,

Nie czeżym wyrazem dowiodę ci, panie,

Dlatego grzecznych oświadczeń ci skąpię.

(Gracyano i Neryssa rozmawiają na stronie).

Gracyano. Krzywdzisz mnie, świadkiem ten księżyc na niebie,

Sekretarzowi sędzi go oddałem.

Chciałbym w rzeźnią zmienić pisarczyka,

Gdy cię ta sprawa tak mocno dotyka.

Porcyia. Jakto? już wojna? co ją zapaliło?

Gracyano. Złota obrączka, ubogi pierścionek,

Który mi dała, którego dewiza ¹⁾

Nie większą miała poetyczną wartość

¹⁾ Dewiza — napis wryty, godło.

Od nożownika dewizy na trzonku:

»Kochaj mnie szczerze, a nie zgrab mnie, proszę«.

Neryssa. Co o poezji pleciesz, o wartości?

Czy nie przysiągłeś, kiedy ci go dałam,
Że go nie zdejmiesz z palca aż do śmierci,
Że go po śmierci do grobu zabierzesz?

Jeśli nie dla mnie, to dla przysiąg własnych

Trzeba ci było wiernie go zachować.

Sekretarzowi dał go! ten sekretarz

Nie będzie nigdy włosa miał na brodzie.

Gracyano. Będzie, byleby wyrósł na mężczyznę.

Neryssa. To jest, dziewczyna wyrosła na męża.

Gracyano. Klnę się na duszę, pierścień ten oddałem

Biednemu dziecku, małemu chłopięciu,

Twojego wzrostu, sędzi wyrostkowi;

Nie chciał innego poczesnego przyjąć.

Powiedz, sumiennie, mógłbym mu odmówić?

Porcya. Otwarcie powiem, niedobrze zrobiłeś,

Żeś dał tak łatwo pierwszy prezent żony,

Rzecz, którąś włożył na palec śród przysiąg,

Wiernością przybił do twojego ciała.

Ja także dałam pierścień kochankowi,

On także przysiągł zachować go wiernie,

I jestem przysiądz gotowa na niego,

Żeby go z palca nie zdjął, nie odstąpił

Za świata skarby. Wierzaj mi, Gracyano,

Dałeś twej żonie słuszny powód żalu.

Ja, na jej miejscu, straciłabym rozum.

Bassanio (*na str.*) Ach, czemuż sobie nie uciąłem ręki,

Abym mógł przysiądz, że ją utracilem,

Pierścienia broniąc!

Gracyano. Bassanio dał także

Pierścień sędziemu, który nań zasłużył,

O który prosił; a jego sekretarz,

Co się umęczył, akta redagując,

O mój się uparł; ni jeden ni drugi

Nie chciał innego przyjąć honorarium¹⁾.

¹⁾ Honorarium — wynagrodzenie.

Porcya. Jakiż to pierścień dałeś mu, Bassanio?

Nie ten przynajmniej, który ja ci dałam?

Bassanio. Gdybym chciał kłamstwo do błędu przyrzucić,

Przeczyłbym temu. Lecz widziś mój palec,

Palec jest nagi, zniknął z niego pierścień.

Porcya. Jak z twego serca i prawda i wiara.

Niebo mi świadkiem, że do twego łoża

Nie wstąpię, póki nie ujrzę pierścionka.

Bassanio. Gdybyś wiedziała, komu dałem pierścień,

Gdybyś wiedziała, za kogom dał pierścień,

Gdybyś wiedziała, za co dałem pierścień,

Z jaką niechęcią odstąpiłem pierścień,

Gdy nie chciał przyjąć nic, ten tylko pierścień,

Wiem, żeby zaraz gniewy twe ostygły.

Porcya. Gdybyś znał cnoty, które miał ten pierścień,

Gdybyś znał wartość tej, co dała pierścień,

Honor, co wzywał, byś zachował pierścień,

Nie takbyś łatwo z palca zsunął pierścień;

Bo gdzie jest człowiek tyle bezrozumny,

Aby upornie stał przy swem żądaniu,

Gdybyś był bronił szczerze i gorliwie,

Jak świętej rzeczy mego podarunku?

Tak, jak Neryssa, i ja też przysięgam,

Że mój dziś pierścień jakaś ma kobieta.

Bassanio. Nie, na mój honor, nie, na moją duszę,

Nie, nie kobieta, ale doktor prawa,

Który z pogardą złoto me odrzucił,

O pierścień prosił; odmówilem naprzód;

Widziałem, z jaką urazą odchodził

Ten, który drogie mego przyjaciela

Ocalił życie. I cóż miałem robić?

Kochana, pierścień musiałem mu posłać,

Zmuszony wstydem i sumienia głosem.

Miałem oszpecić niewdzięczności plamą

Czysty mój honor? Przebac mi, o droga!

Ale przysięgam na te jasne gwiazdy,

Że, gdybyś była przytomną, ty sama

Zdjęłabyś pierścień i dała go sędzi.

Porcya. Niechże ten doktor w strony te nie zjeżdża.
Gdy dostał klejnot, którym tak kochała,
Któryś miał chować dla mojej miłości,
I ja też będę równie szcudrobliwą,
Dla niego będzie wszystko, co jest moje,
Nawet me ciało i mężowskie łóżce.
Poznać go, wierzaj, nie trudno mi będzie.
Strzeż mnie, jak Argus¹⁾, nie opuszczaj domu,
Bo ile razy zostawisz mnie samą,
Przysięgam na mój honor dotąd czysty,
Że bez doktora spać się nie położę.

Neryssa. I ja nie myślę spać bez sekretarza.
Wiesz, co cię czeka, jeśli się oddalisz.

Gracyano. Niechże sekretarz nie wpadnie mi w ręce:
Jeśli go złapię, pióro mu ukreję.

Antonio. Ja nieszczęśliwą sporów tych przyczyną.

Porcya. Pomimo tego, witam cię z radością.

Bassanio. Daruj mi, Porcyo, błąd ten przymuszony,
A w przytomności tych wszystkich przyjaciół
Przysięgam, droga, na jasne twe oczy,
W których się widzę...

Porcya. Słyszycie, co mówi?
We dwu mych oczach podwójnie się widzi,
Raz w każdym oku; mam wierzyć przysiędze,
Którą wykonał na swe dwie postacie!

Bassanio. Błąd mi ten przebac! Przysięgam na duszę,
Że ci raz drugi nie złamię przysięgi.

Antonio. Dla jego szczęścia życie naraziłem,
A od mąk strasznych ten mnie uratował,
Który dziś pierścień Bassania posiada.
Teraz powtórnie głową moją rękę,
Że mąż twój więcej nie złamię ci wiary.

Porcya. Bądź mu rękojmnią; daj mu ten pierścionek,
I zaleć, żeby lepiej go pilnował.

Antonio. Weź i przysięgnij zachować go wiernie.

Bassanio. Ach! to pierścionek, który sędzi dałem!

Porcya. Mnie go dał sędzia. Daruj mi, Bassanio,
Lecz doktor ze mną spał za ten pierścionek.

Neryssa. Przebac mi także, dobry mój Gracyano,
Lecz ów wyrostek, sekretarz doktora,
Za ten pierścionek noc przepędził ze mną.

Gracyano. To coś wygląda, jakby szarwark w lecie,
Gdy dobrą drogę lud naprawiać śpieszy.
Mamyż mieć rogi, nim na nie zasłużym?

Porcya. Mów trochę skromniej. Sprawa ta was dziwi;
Oto list, który rzecz wyjaśni całą;
Jest to list z Padwy, pisze go Bellaryo.
Tam wyczytacie, że Porcya doktorem,
Neryssa była jego sekretarzem.
Że wkrótce po was dom ten opuściłam,
Wróciłam tylko na chwilę przed wami,
To wam potwierdzi Lorenca zeznanie.
Raz jeszcze witaj, Antonio! Dla ciebie
Mam stokroć lepsze nowiny w zapasie,
Niż się spodziewasz; list ten otwórz tylko,
A w nim wyczytasz, że trzy twe okręty
Wbiegły do portu z bogatym ładunkiem.
Jakim przypadkiem list ten wpadł mi w ręce,
Nie pytaj teraz.

Antonio. Z dziwu oniemiałem.

Bassanio. Byłaś doktorem, a jam cię nie poznał!

Gracyano. Tenli sekretarz rogi mi przyprowi?

Neryssa. On sam, a wtedy dotrzyma ci słowa,
Kiedy na męża wyrośnie.

Bassanio. Doktorze,
Będiesz mi słodkim nocy towarzyszem,
A gdy odjadę, śpijże z moją żoną.

Antonio. Dalaś mi życie i z czego żyć dajesz,
Bo tu niemylnie wyczytuję wieści,
Że me okręty wróciły szczęśliwie.

Porcya. Słuchaj, Lorenzo, młody mój sekretarz
Ma i dla ciebie dobre wiadomości.

Neryssa. Za które żadnych kosztów nie wymaga.

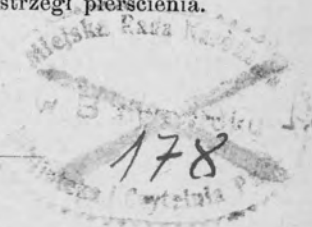
¹⁾ Argus, postać mitologiczna o wielu oczach, symbol bacności.

Masz akt zapisu, którym Żyd bogaty
Wszystkie wam skarby leguje po śmierci.

Lorencio. O piękne panie, wy spuszczenie manę
Na pustą drogę zgłodniałego ludu.

Porcya. Już świta prawie; widać z waszych oczu,
Że wszystko jeszcze niedosyć wam jasne;
Idźmy do domu; tam z nas wywód słowny
Możecie ciągnąć i wszystko wyświecić.

Gracyano. Niech i tak będzie. Pierwszy wywód słowny,
Który z mej pięknej wyciągam Neryssy,
Jest, czy chce czekać przyszłego wieczora,
Czy też spać woli, choć już świtu pora;
A gdy dzień przyjdzie, nocy będę wzywać,
Bym z sekretarzem akta mógł spisywać;
Odtąd zaś, póki stanie mi istnienia,
Jak własnych źrenic będę strzegł pierścienia.



*książka ta ma
juz do szkodliwego
składowania*

178

